BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN C2015 2552/197

kamena

LUBLIN 28 X 1979 NR 22 (690) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

TAJEMNICE ZAMOJSKIEJ „CENTRALKI"

Bogumiła Sroczyńska

str. 4

Polski charakter

Ireneusz J. Kamiński

str. 10

ZESPOLENIE

Bronisław Bielan

str. 11

„Lublin powinien mieć pierwszą ligę!" Rozmowę z trenerem Motoru, Bronisławem Waligórą zamieszczamy na str. 7 Przeczytajcie też „Szpalte o sporcie" na str. 2.

Fot. Jacek Mirosław

NA BUDOWIE LINII HUTNICZO-SIARKOWEJ

Dobrze że... ciężko

Maciej Podgórski

NA budowie LH-S z końcem września — gdy piszę te słowa — wszystko już niemal przyszykowane do przejścia z układką toru nad Sanem.

Szesnastometrowej wysokości nasyp dźwiga most klamrujący rzekę. Surowy, dobrze dojrzały beton nawierzchni mostu czeka tylko na warstwę piasku.

Nasyp łagodnie przechodzi w wykop, który ciągnie się 1300 metrów, a w najgłębszym miejscu ma metrów siedemnaście. W tym statycznym krajobrazie ogromne wywrotki pełzają tyłem po dnie wykopu, wożąc ostatnie tony piasku.

Wykop coraz bardziej spłyca się i podsuwa do drogi, a z nią, na ułożonym już szerokim torze, stoi dźwig układkowy z długim ramieniem i oczekuje końca robót ziemnych tutaj.

Dokończenie na str. 4

Jan Górec-Rosiński

MARA

Śnił mi się
błysk oślepiający wszystko
w śmiertelnym całunie mgły
ginął mój syn
dłonie Marii
kwitły w płomieniach napalmu
kosmonauci
szukali śladu ziemi
płacząc
rozpływali się w kosmicznej kadzi

To był sen
jeszcze tylko sen

Wołam do was
w imieniu róży poranków
nie zabijajcie rosy
w imieniu snu synogarlicy
nie zabijajcie gniazd
w imieniu jabłoni roznoszącej sady
nie zabijajcie brzemienności
w imieniu Ziemi bawiącej się w piłkę z moim synem

nie zabijajcie nadziei

bądźmy ludźmi
nie tylko z imienia

POSZUKIWANIE MITU

Szukałem
Żywego Boga
WszechMogącego
obejrzałem świątynie
ołtarze
wspinałem się na szczyty
przechodziłem przez mury
goniłem błyskawice
błędne ogniki
echo
Kamień mówił
„duszą jest milczenie"

Schodziłem dalej wyżej
głębiej
poza głębię
poza dno

ciemność

Syzyf
dźwigał cierpienie

Ludzie mówili
„Jesteśmy Prometeuszami
niesiemy światło"
i schodzili
na ostatnią wieczerzę
Historii Przepowiedzianej

w świt zmartwychwstania
śmierci naszej powszedniej

11 lutego 1980 roku — VIII Zjazd PZPR

XVI Plenum KC postanowiło zwołać VIII Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w dniu 11 lutego 1980 roku w Warszawie z następującym porządkiem obrad:

1) Sprawozdanie KC PZPR oraz zadania partii w dalszym socjalistycznym rozwoju Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i kształtowaniu pomyślności narodu polskiego;

2) Sprawozdanie Centralnej Komisji Rewizyjnej;

3) Założenia społeczno-gospodarczego rozwoju kraju w latach osiemdziesiątych oraz planu na lata 1981—1985;

4) Wybory Komitetu Centralnego i Centralnej Komisji Rewizyjnej.

Przed Zjazdem odbędzie się ogólnopartyjna i ogólnonarodowa dyskusja nad zadaniami w dziedzinie dalszego społeczno-gospodarczego rozwoju PRL, w pogłębianiu socjalistycznych przeobrażeń zachodzących w naszym kraju oraz w umacnianiu partii i jej przewodniej roli.

z notatnika

Marek Adam Jaworski

14 X. Niedziela. Wziąłem do domu cały stos gazet i czasopism. Sądzę, że ktoś mądry powinien raz w tygodniu siadać, zbierać poszczególne notatki, cytować fragmenty artykułów i ów plon przedstawiać komu trzeba.

Jerzy Urban pisze w „Szpilkach", że „wszelkie próby zartykułowania kryteriów oceny ludzi wywołują na ogół kolosalną wesołość". Oto ankieta Instytutu Onkologii. Arkusz ocen ma 30 rubryk. Przeważnie oceniający winien stawiać ocenianemu stopnie od 1 do 6. Np. „W jakim tempie pracuje?" — skala ocen od 1 (najwolniej) do 6 (najszybciej). Stopień należy też dać za wyobrażenia osoby ocenianej o sobie samej (skromna czy zarozumiała), za zrównoważenie psychiczne, skłonność do innowacji, pomysłowość, stanowczość, inteligencję. „O dziwo — stwierdza Urban — za uleganie sugestii innych osób należy się pała, a za nieuleganie — 6.

Opasłe kwestionariusze wypełniało się — dodaje Urban (a ja to znam bardzo, a bardzo dobrze!) — i w redakcjach i z tego też nic nie wynikało, bo może istnieć człowiek wszechstronnych zalet z tą jednak *jedną* wadą, że nie umie pisać. W komisji odwoławczej do spraw pracy w Warszawie toczy się obecnie sprawa pewnego dziennikarza, którego wylano z pracy. On twierdzi, że w szczegółowym kwestionariuszu personalnym szefowie dali mu same najlepsze oceny, przełożeni zaś gotowi są mu je jeszcze podwyższyć, aby tylko poszedł sobie precz, a mają mu do zarzucenia to tylko, że nie... pisze.

Tak sobie czasami myślę: nagle odchodzę z tego najciekawszego ze światów, opuszczam tę najsympatyczniejszą (moim zdaniem) w Lublinie redakcję (oczywiście redakcję można opuścić i *nadal* szwendać się po ziemskim padole, ale nie o to mi w tej chwili chodzi) i co się wtedy dzieje? Czy ktoś wertuje kwestionariusze osobowe? Czy komputer, zapytany uprzednio, wyrzuca nazwisko Iksa, uznając, że właśnie on najlepiej nadaje się na stanowisko szefa redakcji? Śmiem wątpić. Awansami rządzą nieco inne prawa. A swoją drogą nasuwa się pytanie: co należy uważać za awans? Dla *piszącego* dziennikarza stanowisko redaktora naczelnego bywa niekiedy kulą u nogi. Odrzuci artykuł Ygreka i już ma wroga na całe życie. Powie Zetowi, że jego wiersze to najzwyklejsza grafomania albo hochsztaplerka, a wówczas Zet będzie bruździł, ile tylko się da. Oczywiście można lawirować: samemu decydować o sprawach, które komuś mogą zrobić przyjemność, a problemy konfliktowe spychać na najbliższych podwładnych. Wtedy opinia jest taka: ten naczelny to dobry chłop, ale kim on się otacza?

Dałem przykład z dziennikarskiego podwórka, ale sądzę, że większość ludzi, pełniących mniejsze czy większe funkcje kierownicze, pragnęłoby postępować tak, by sprawiać innym więcej radości niż przykrości. Ale, u licha, jak to czynić?

Znów sięgam do lektury.

J. S. z Warszawy pisze do redakcji „Razem": „Jestem rozwiedziona, mam ciężko chorą matkę, która się opiekuję, ciężko pracuję. [...] Córka, mająca dziesięć lat, chodzi do piątej klasy. Od nowego roku szkolnego tą klasą opiekuje się nowa wychowawczyni. To, że kazała dzieciom do dzienniczków wkleić fotografie obojga rodziców, można uważać za drobiazg. Ale na pierwszej lekcji wychowawczej orzekła, że są na tyle dorosłe, by móc rozmawiać o wszystkich sprawach. Zaczęła wypytywać się jak rodzice ze sobą żyją, ile zarabiają, czy wspólnie prowadzą kasę i co za to kupują. Moją córkę zaczęła wypytywać, jak dawno jestem rozwiedziona, co było przyczyną rozwodu, kto do mnie przychodzi, czy zostaje na noc i ze mną śpi. Po zaprzeczeniach ze strony dziecka zarzuciła mu, że kłamie, albo udaje, że nic nie widzi, bo przecież nie mogę być taka święta".

I tak dalej w tym duchu. Gdybym był kuratorem warszawskim, albo dyrektorem w szkole, o której mowa, czy byłbym w stanie opanować nerwy? Jeśli ktoś w ten sposób prowadzi lekcje wychowawcze, to nawet nagana może uchodzić za kwiatek!

W „Polityce" natrafiam na artykuł pt. „Przylepność". Autor, Edmund Szczesiak, opisuje, jak to Ośrodek Badawczo-Rozwojowy „Meprozet" w Gdańsku wybudował dom o ośmiu mieszkaniach. Otrzymały te mieszkania osoby, którym one nie przysługiwały. Wśród nich znalazł się były dyrektor ośrodka, ob. G. Kiedy sprawa trafiła do Komisji Kontroli Partyjnej, były dyrektor mówił: „Posiadam wiele lat nienagannej pracy w rolnictwie za co otrzymałem Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski". Niemniej nie taił, że od początku chciał uzyskać w tym budynku mieszkanie w związku z „komplikującą się sytuacją życiową". Ob. G. rozwiódł się i musiał opuścić mieszkanie. Pozostawił je byłej żonie i córce. Ponadto, jak oświadczył, ma rodziców w podeszłym wieku, których musi wziąć do siebie, aby im zapewnić opiekę.

Po zbadaniu trudnej sytuacji życiowej dyrektora G. — stwierdza Edmund Szczesiak — okazało się, że mieszkanie, które opuścił, liczy 81 m kw. (trzy pokoje w Sopocie). Można je było zamienić na dwa mniejsze. Okazało się również, że rodzice G. są właścicielami połowy domu (84 m kw.) i wynajmują pokoje obcym lokatorom. A dom ten znajduje się w nieodległym od Gdańska Pruszczu. Że dyrektor G. jest właścicielem domu nad jeziorem, dużego, murowanego, z ogrzewaniem i garażem. W miejscowości oddalonej od Gdańska o 30 km.

Dyrektora G. usunięto z partii, ale wszystko wskazuje na to, że w nieprawnie zdobytym mieszkaniu nadal pozostał. Ktoś na marginesie tej sprawy powiedział: „Po co karać podwójnie?" Notabene dyrektor, aczkolwiek pracuje w innej instytucji, ma własny gabinet, „w którym drzwi świeżo wywatowane, fotele głębokie..." Pełni funkcję głównego specjalisty. Może się sprawdzi, dobrych specjalistów należy cenić, ale z drugiej strony, wydaje mi się, należy zdecydowaniej tępić podwójną moralność. Nie tylko w Gdańsku...

17 X. Nie wiem, jak to wygląda statystycznie, jak to wygląda w porównaniu do jesieni ub. r., faktem jest jednak, że codzienna prasa lubelska stale informuje o wypadkach samochodowych. Najtragiczniejszy zdarzył się właśnie pod Kalinówką. Na fiata jadącego w stronę Piask wpadł *od tyłu* samochód ciężarowy, należący do oddziału PKS. Trzy osoby jadące w fiacie zginęły na miejscu, czwartą odwieziono do szpitala w ciężkim stanie. Kierowca ciężarówki był kompletnie pijany.

Mogę zrozumieć — czołowe zderzenie. Mogę zrozumieć — zderzenie przy skręcaniu. Ale człowiek jedzie normalnie i tu nagle z tyłu wali się na niego jakaś masywna bestia, kierowana przez bestię w ludzkiej skórze.

Ręce opadają. A tu jeden ze znajomych oficerów MO opowiada mi, że pewnej nocy zatrzymano w województwie kilku dyrektorów prowadzących samochody w stanie, jak to się delikatnie mówi, wskazującym na spożycie alkoholu. Przepraszam bardzo, ale czy nie warto by ich nazwisk opublikować?

Nasza milicja drogowa czasami chętnie się gdzieś przyczaja. Jest np. ograniczenie szybkości do 40 kilometrów. Szosa wolna, ktoś jedzie pięćdziesiątką. Mandacik. Takich mandacików koło Konopnicy, gdzie jest objazd z powodu budowy wiaduktu kolejowego, można w ciągu dnia wypisać i kilkaset. Ale ta pięćdziesiątka w gruncie rzeczy, gdy szosa jest zupełnie pusta, żadnego niebezpieczeństwa nie stwarza. Natomiast pijak za kierownicą w centrum miasta, zwłaszcza wieczorem, może jechać nawet trzydziestką na godzinę i wpaść na drugi samochód bądź na chodnik.

21 X. Dopiero zaczęły się jesienne chłody (choć dzisiaj znacznie cieplej niż wczoraj), a my mamy awarię sieci ciepłowniczej. Na szczęście mrozów jeszcze nie ma, ale te dwie awarie, jedna za drugą, nie nastrajają optymistycznie.

Znów sobie poczytałem prasę. Człowiek może się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy. Czasami dobrze oderwać się od telewizora.

W „Walce Młodych" Tomasz Persidok pisze, że Francuzi zwrócili nam transport kosmetyków „Pollena": było zbyt wiele stłuczek. Okazuje się, że ziarno od plew odłączyć trudno: czterech uczniów w ramach czynu społecznego otrzymało młotki, rękawice i okulary ochronne, po czym ruszyło do walki z szamponem. Polska jest bogatym krajem, przeżyje i ten wandalizm. Ale przy okazji: warto by sprawdzić, bo ponoć coś podobnego miało miejsce i w naszym regionie. Tylko, że nie chodziło o szampon. Na razie jednak sza...

Wiadomostki z „Życia Gospodarczego".

◆ Dworzec w Katowicach, 7 września, godz. 17.17. Większość okienek nieczynna. W okienku nr. 22 panienka zamyka interes, ale dalej siedzi i przymierza kolczyki, zabawiając rozmową panienkę z sąsiedniego okienka. Kasjerki obserwują reakcje pasażerów i bawią się ich kosztem. Na pukanie w szybę i pytanie, czemu kasa jest nieczynna, odpowiedź brzmi: „Puknij się pan w głowę i idź do lekarza". Działa okienko nr 21, ale kasjerka jest pijana. Nie może wydawać reszty. Wykłada pieniądze i podróżni sami sobie wybierają, ile im się należy.

◆ „Express Poznański" interpelował Ministerstwo Oświaty i Wychowania, dlaczego nie ma dzienników szkolnych. Odpowiedź: „Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby nauczyciele, ewent. przy pomocy uczniów, sporządzali je samodzielnie".

Dodam ciekawostkę z Lublina. Spróbujmy w środę zadzwonić pod 492 i dowiedzieć się, jakie wylosowano numery w express-lotku i w małych lotkach. Automat podaje znane wyniki z niedzieli! Ale można kręcić takie numery: 091 i następnie 922. W Szczecinie ludzie odpowiedzialni za pocztowe automaty myślą i działają szybciej niż w Lublinie. Zresztą nie tylko w tym wypadku.

SZPALTA O SPORCIE

W TYM numerze „Kameny" nie tylko na tej szpalcie zajmujemy się sportem. Redaktor Kowalski pogawędził sobie z trenerem Waligórą. Cykl produkcyjny pisma ma swoje prawa: ten tekst dostarczamy do drukarni w tzw. ostatniej chwili, to znaczy w poniedziałek, 22 bm., a wywiad z Waligórą został przeprowadzony ponad dwa tygodnie temu. W ciągu trzech kolejnych sobót bądź niedziel Motor raz przegrał — to na swoim boisku, a dwa razy wygrał. Ponieważ Gwardia główny rywal lubelskiej jedenastki wypadła gorzej, Motor został samodzielnym liderem w swojej grupie.

O ile jednak w skali lubelskiej mamy powody do zadowolenia, o tyle w skali ogólnopolskiej można tylko siąść i płakać. Źle to ująłem, bo jak tu płakać *w skali*, ale mój błąd jest zwykłym „cybiskiem" przy błędach popełnionych przez obie nasze reprezentacje. (Skąd to powiedzenie „cybisek"? Znalazłem je w wywiadzie, jakiego „Kurierowi Polskiemu" udzielił Marian Łącz, dawny piłkarz, a dziś aktor filmowy i teatralny. „Kto ma strzelać? — oświadczył. — Za dużo jest cybisków". Dawniej to były chłopy! A jeśli już był „cybisek", jak Cieślik czy Gracz, to talenty pierwszej wody"). W eliminacjach do mistrzostw Europy NRD urwała nam trzy punkty. My z kolei urwaliśmy trzy punkty Holandii. Biorąc pod uwagę różnicę bramek, znaleźliśmy się jednak poza burtą. Prasa pisze, że z honorem. Niech będzie, że z honorem. Mówiąc jednak szczerze, mecz z Holandią mógł się podobać tylko do przerwy.

Zostawmy jednak na boku mistrzostwa Europy. Nieszczęścia idą zwykle w parze: zaprzepaściliśmy również szansę występu na moskiewskiej olimpiadzie. I to w jakim stylu!

Kolejna klęska to losowanie przed mistrzostwami świata. Znaleźliśmy się w najmniejszej grupie. Będziemy walczyć z Maltą i NRD. Kibice piłki nożnej zobaczą więc tylko cztery mecze (jeśli z Malty będzie bezpośrednia transmisja), a nie osiem. Jednym z naszych przeciwników znów stali się zawodnicy NRD, z którymi po prostu nie umiemy walczyć.

I refleksja: kto ma właściwie walczyć? Nasz atak wykrusza się coraz bardziej. Lato to już *jesień*, a wkrótce będzie *zimą*. Gdzie mamy szukać następców? W drużynie olimpijskiej? Wolne żarty.

„Za co wam płacimy?" — coraz głośniej wołają kibice podczas rozgrywek klubowych. W czasie meczu mieleckiej Stali z Aarhus poleciały na głowy stalowców nie tylko przysłowiowe gromy, ale i ogryzki, drobne kamienie i pety. Spora gęstwa kibiców — pisze R. Niemiec w „Polityce" — długo domagała się przed stadionem wzmocnienia przez piłkarzy... załogi wydziału piaskowni w SK-PZL. Skandujący swe oburzenie mężczyźni są de iure właścicielami i mecenasami fabrycznego klubu Stal. Z ich dobrowolnych składek w wysokości 0,5—1 procenta od zarobków sportowcy mają talony premie, dożywianie, ptasie mleko i wszystko, czego dusza zapragnie. Wielotysięczna załoga nie obciąża piłkarzy pracą zawodową, pragnie jedynie raz na dwa tygodnie popatrzeć na dobrą piłkę. I co? Patrzy? 21 października Stal walczyła z wrocławskim Śląskiem. U siebie. Przegrała 1:2.

Na zakończenie, żeby już było całkiem wesoło (oczywiście jest to humor wisielczy) cytuję „Kulturę". Waldemar Łysiak opowiada słowami 19-letniego piłkarza ze znanej II-ligowej drużyny:

„Przyjeżdżamy, kapujesz, do N... Frajerzy są na krawędzi, jeden przegrany mecz i lecą na mordę. No to mówimy przed meczem: tyle i tyle i macie mecz. Ale tamci pyskują, że nie, nie chcą bulić, bo myślą, że u siebie dadzą sobie radę. No to my, kapujesz, gramy na ura i do przerwy jest 0:0. I frajerzy normalnie miękną, kapujesz, strach do tyłka. W przerwie przyłazi dwóch do naszej szatni i śpiewają: bulimy. No to w porządku, po przerwie, kapujesz, gramy na jedną bramę. I tu, brachu, zaczyna się cyrk. I my, i oni chcemy wkopać w te nasze bramę i, cholera, nic! Pomagamy im, jak możemy, chodzimy jak po bajnie [illegible]dyna, a tu, szlag trafił, nic i nic, nie mogą palanty wbić do pustej bramy! Taki fart, rany boskie, czegoś takiego w życiu nie widziałem, forsa wzięta, podkładamy się jak te bure suki, a tu ciągle 0:0! Trzy minuty do końca, śmierć w oczach... Co było robić, ścięliśmy frajera na polu karnym, aż matka ziemia stęknęła, no i, kapujesz, git! Z karnego wreszcie wbili, ale cośmy się napocili wtedy i nastrachali, że trzeba będzie zwrócić szmal, kurcze blade, długo nie zapomnę!..."

GOL

„Byki” z bryków

Julian Kania

OPUBLIKOWANY w „Kamenie” (nr 17 z 19 sierpnia br.) artykuł „Ściągawka z alfabetu” przeczytałem z nie mniejszym zainteresowaniem, graniczącym z niedowierzaniem, niż relację o rzekomym UFO nad Piotrkowem, zamieszczoną w tymże samym czasopiśmie. To, co relacjonuje autor pierwszego artykułu, te przykłady, które przytacza, czyta się jak humor z zeszytów lub jak kroniki Wincentego Kadłubka, jak historyjki o UFO. I gdyby nie te przykłady, podane ekspressis verbis, można byłoby potraktować ową ściągawkę z alfabetu jako „wyssawkę”. Ale niestety. Rzeczywistość przykładami skrzeczy. Przykładami błędów rzeczowych, prymitywizmu myślenia i języka, jak to dość delikatnie nazywa autor sprawozdania z egzaminów na wyższą uczelnię.

Należałoby więc zastanowić się nad przyczynami takiego stanu rzeczy, poszukać (o ile się da) winowajców. Myślę, że odpowiedzi na postawione pytania będzie niemało, że różne będą poglądy na ten temat, bo wiele musi być przyczyn tego patologicznego zjawiska. Spróbujmy na nie popatrzeć okiem nauczyciela-polonisty.

Efekty kształcenia, a więc i poziom przygotowania kandydatów na studia, są wypadkową wielu zmiennych. Doświadczony, z kilkuletnim przynajmniej stażem polonista chyba zgodzi się ze mną, że w dużym stopniu wyniki naszej pracy, a więc i przygotowania do studiów, w dużej mierze uzależnione są od samego ucznia, od kandydata na studia. Przecież ten sam materiał programowy, realizowany w podobnych warunkach organizacyjnych — z jednym zespołem daje pożądane rezultaty, a z drugim zaś nie. Nawet zwiększone wysiłki nauczyciela nie rekompensują braku odpowiednich motywacji uczniów czy też ich zdolności, które to dyspozycje kierunkowe jak i instrumentalne są potrzebne również w kształceniu filologicznym.

W szkołach mamy coraz to więcej uczniów słabych w tym przedmiocie. Co jest tego przyczyną? Należałoby się chyba tą sprawą zająć oddzielnie. Tutaj jednak stwierdzić należy, że mamy uczniów, których nie interesuje książka. A jeśli nie interesuje, to i nie czytają, a jeśli nie czytają, to później łatwo można przypisywać Żeromskiemu „Wesele” oraz „Popiół i diament”, Prusowi „Trylogię”, Kasprowiczowi „Sonety krymskie” a doktorowi Judymowi prowadzenie handlu z Cesarstwem Bizantyńskim.

Drugą zmienną zależną, pozostającą w pewnym związku z uwarunkowaniami ucznia, a wpływającą na obniżenie poziomu edukacji filologicznej kandydatów na studia, jest czasem i sama szkoła, która, niestety, mimo formalnych ustaleń, zwracających uwagę na znaczenie przedmiotu, jakim jest język polski, traktuje humanistykę, kształcenie filologiczne po macoszemu. Czyż nie znane są sądy, że przecież polskiego i „głupi się wyuczy”, że „myślenie to obowiązuje na matematyce”. A w ogóle, czyż nie sądzi się raczej już powszechnie: i w szkole, i w domu, że najlepszy chleb, zwłaszcza dla syna, dla chłopca zdobywa się nie na humanistyce, nie na jakiejś tam filologii polskiej, ale na wydziałach matematyczno-przyrodniczych? I, co gorsza, sąd ten ma, niestety, pokrycie w życiu. Tylko jakiś „poeta”, lub intelektualnie słabszy „idzie” na filologię i idzie czasem jak „ten kołtun (...) w bieliźnie albo coś takiego”, jak to mówi przykład ze ściągawki. Gdzież podziały się czasy Jana z Czarnolasu, kiedy to wzorem człowieka wykształconego był „homo trium lingwarum”!

Trzeci czynnik, który może obniżać poziom wykształcenia z zakresu języka polskiego, to nauczyciel. I do nas, nauczycieli, można by też częściowo mieć pretensje. Mimo że jest nas coraz to więcej z cenzusem wyższego wykształcenia, z dyplomami studiów podyplomowych, że jesteśmy nawiedzani przez sztab wizytatorów — jakoś nie osiągamy większych efektów. Oczywiście nie odnosi się to do wszystkich nauczycieli, tak zresztą, jak i ta ściągawka z alfabetem nie dotyczy całej, czy też znaczniejszej populacji uczniów(?). Przywiązujemy może zbyt dużą wagę do strategii, przyjmującej za podstawę przyswajanie wiedzy gotowej, i dzięki temu gross uczniów, którzy są bez ambicji, bez chęci poznawania świata przy pomocy kultury, leniwi — zadowala się tym co usłyszy na lekcji podczas „omawiania” utworu, tym, co im „streściła” koleżanka na przerwie lekcyjnej, a często tym, co bez zrozumienia przeczytali z cudzej, nieczytelnie sporządzonej notatki. Bywa i tak, że niektórzy uczniowie dzielą się na „zespoły samokształceniowe”, opracowujące bryki i zawierające, według ich sądów, kwintesencję (czasem nazywaną „kwit-esencją”!) wiedzy o całych epokach literackich, łącznie z życiorysami pisarzy i „streszczeniami” lektur. Drukują, robią odbitki na kserografie w wielokrotnym pomniejszeniu, by ta „kwit-esencja” treściowa mogła się zmieścić w jak najmniejszym formacie. Takie ściągawki, doskonalsze od tych, które stały się powodem owej dyskusji w „Kamenie”, sam miałem w rękach, tylko moje zmęczone czytaniem oko nie dawało sobie z tym rady. Sam też, kiedy uczyłem w szkole zaocznej (gdzie miewałem uczniów, których mógłby mi pozazdrościć niejeden polonista), słyszałem czasem podobne bantaluki do tych, jakimi posługiwali się przedstawieni w „Kamenie” kandydaci na studia. Moi jednak słuchacze tak wysoko nie dochodzili. Mówię o tym „bom smutny i sam pełen winy”. Na swoje usprawiedliwienie mam jednak to, że w systemie szkoły zaocznej słuchacz pracuje w zasadzie sam i jeszcze łatwiej o tego typu błędy, jeszcze bardziej nęcą go bryki, im staraze, tym wartościowsze, niczym „białe kruki”. Dysponując mniejszą ilością czasu na naukę (pracują i mają obowiązki rodzinne i krótsza jest ich edukacja), często nie czytają, a wkuwają, obarczając pamięć mechaniczną. Ile razy słyszałem na przystankach PKS, jak uczniowie czynili sobie wzajemne usługi np.: „głupia, co będziesz czytała „Lalkę”! Takie to grube... masz, przeczytaj sobie, te 3 stronice ci wystarczą”. Uczniowie tego typu myślą, że to im skraca czas, że to im się opłaca. Żeby się przekonać, że tak nie jest, trzeba czytać. Uczeń musi to sprawdzić sam, na sobie. I w tym my, nauczyciele, musimy im pomóc. I myślę, że tu leży „pies pogrzebany”.

Jak z tego wybrnąć? Recepty uniwersalnej nie ma, ale w sukurs przychodzi pedagogika, fachowa literatura, z której pozwolę sobie przypomnieć niektóre myśli.

Po pierwsze, nie można z uczniami zatrzymać się tylko na strategii, która pozwala uczniowi na nieczytanie lektur. Trzeba docenić strategię inną: dochodzenia do nowej wiedzy przez rozwiązywanie problemów. To zmusza uczniów do wertowania tekstu, a nie bezmyślnego wkuwania bryka czy też korzystania ze ściągawki, która tekstu nie zastępuje, a pamięć zawodzi. Brykowe przyswajanie oderwanych faktów powoduje chaos, z którego rodzi się „charakterystyczna walka chochołów”.

Po drugie, trzeba koniecznie usłuchać Wincentego Okonia, wziąć przykłady (oczywiście, jako stanowiące punkt wyjściowy do własnych przemyśleń) ze „Szkiców polonistycznych”, czy opracowania „Ścisłość i emocja” Stanisława Bortnowskiego i stosować na lekcjach języka polskiego trzecią drogę wielostronnego uczenia, drogę przeżywania. Trzeba też stosować strategię polegającą na emocjonalnym zaangażowaniu ucznia. Ile zachęcających przykładów daje Stanisław Bortnowski w cytowanej książce, w rozdziale II. Czy my, nauczyciele, mamy czas i ambicje wejścia na tę drogę, wymagającą od nas ustawicznego czytania nie tylko lektury omawianej z uczniami, ale i zaangażowania emocjonalnego, którym zarażalibyśmy uczniów?

I po trzecie: nie należałoby również zapominać o metodzie, wyzwalającej u uczniów działania operatywne, stosowanie wiedzy w życiu codziennym.

Czwartą przyczyną, moim zdaniem, obniżającą poziom wyników nauczania z języka polskiego, i nie tylko, są przeładowane programy. Każdy przedmiot to beczka wiedzy, a głowy uczniów nie są gumowe, mają określoną pojemność, nie dają się ustawicznie rozciągać. Przeciwdziałaniem powinno być ustawiczne samokształcenie, oparte na mocnych fundamentach podstawowej wiedzy i podstawowych przekonań, motywacji pozytywnych zdobytych w szkole. A tymczasem każdy „przedmiotowiec” ciśnie, pompuje tę wiedzę w napuchnięte głowy uczniów i na czytanie, na refleksje, na przeżywanie, na „gorszy” przedmiot nie zostaje już czasu. I oto mamy już początki eksplozji.

Powyższe uwagi oczywiście nie wyczerpują problemu. Traktuję je jako jeszcze wstęp do dyskusji. A musiałem je poczynić, bo sprawa języka polskiego w szkołach jest problemem nie tylko dydaktycznym, ale w dużej mierze wychowawczym. I słusznie mówi autor „Ściągawki z alfabetu”: „Są to fakty, których konsekwencje, z patriotycznych chociażby powodów, należy uświadomić sobie jak najprędzej”.

Myślę, że po uświadomieniu musi przyjść jednak działanie. Szukajmy więc środków zaradczych.

MUZEUM WSI LUBELSKIEJ

Fot. Jan Trembecki

Niedawno otwarto Muzeum Wsi Lubelskiej a właściwie jego fragment obejmujący kulturę Wyżyny Lubelskiej. W skład całego skansenu wejdą ponadto takie sektory regionalne i tematyczne, jak: miasteczko rolnicze, Polesie Lubelskie, Podlasie, Powieprze, Powiśle, Roztocze i zespół dworu ziemiańskiego z folwarkiem. Otwarcie kompletnego obiektu przewiduje się w roku 1985. Muzeum będzie wówczas liczyło ponad 100 budynków, posadowionych na 25 ha terenu o urozmaiconej, ładnej rzeźbie.

Warto przy okazji zwrócić uwagę, że skansen lubelski wznosi się nie tylko wyjątkowo szybko (od 1976 r.), ale i w sposób spełniający wszelkie wymagania praktyki i myśli etnograficzno-konserwatorskiej, co wcale nie należy do przypadków dziś częstych. Należy przy tym dodać, że placówka na Sławinku będzie miała charakter żywy, wielostronnie przedstawiający formy bytowania i kulturę wsi.

Można powiedzieć, że kultura nasza faktycznie wzbogaciła się o instytucję i pożyteczną i atrakcyjną dla szerokiej publiczności.

W jednym z najbliższych numerów „Kameny” zamieścimy obszerniejszy materiał o Muzeum Wsi Lubelskiej, którym kieruje Ryszard Królikowski. Tymczasem zachęcamy do lektury skromnego materiałnie, ale przejrzystego w treści i instruktywnego folderu, wydanego niedawno przez MWL.

TAJEMNICE ZAMOJSKIEJ „CENTRALKI"

Bogumiła Sroczyńska

NAWET nie wszyscy rodowici zamościanie wiedzą, że ten zakątek miasta, do którego chce ich zaprowadzić niniejszy artykuł, przecinały niegdyś uliczki noszące zupełnie inne nazwy niż dzisiaj. Oto jedna z nich — Żeromskiego. W czasach, kiedy nie było jeszcze Domu Centralnego, nazywała się bardziej racjonalnie najpierw Tyszowiecką, później Franciszkańską, a w końcu Ślusarską. Równoległa do niej ul. Kościuszki w szesnastowiecznym spisie zamojskich domów zwała się Rachańską, następnie Wodną (od sąsiedztwa z Rynkiem Wodnym) i za czasów rosyjskich Ogrodową, jako że posesje przy niej usytuowane otaczały od strony południowej ogrody, o które tak trudno było w ciasno zabudowanej twierdzy. Jedynie Bazyliańska niemal zawsze nosiła to samo miano, z wyjątkiem najstarszego okresu historii miasta, kiedy była po prostu jedną z trzech „przecznic" bez nazwy.

Według najstarszej lustracji budynków Zamościa z 1591 r., której cennym uzupełnieniem jest wykonana współcześnie przez J. A. Miłobędzkiego graficzna rekonstrukcja planu twierdzy, na miejscu obecnej „Centralki" i działkach przyległych od wschodu stało kilkanaście domków drewnianych ówczesnych „sławetnych" zamościan. Znamy ich tylko z imienia, bowiem nazwiska nosiła wtedy głównie szlachta. Mieszczanom ze względów praktycznych dodawano czasem nazwę rzemiosła, „którym się bawił" każdy Jan, Maciej czy Jędrzej, a niekiedy przezwisko również dobrze ustalające tożsamość. Przy ulicy Rachańskiej, Tyszowieckiej i III przecznicy jedenaście lat po założeniu Zamościa mieszkali już m. in. dwaj tkacze: Matis i Marcin, Gregor-piwowar garwoliński, Stanisław-cieśla, Wawrzyniec-grabarz oraz Chrystof Częstopyany.

W kolejnej, o wiek cały późniejszej, siedemnastowiecznej lustracji domów (1696 r.) nie ma już oczywiście po nich ani śladu, natomiast podobnie jak w innych miastach zaczęła się wtedy w Zamościu osiedlać szlachta. Zewnętrznym wyrazem tej swoistej „nobilitacji" twierdzy były m. in. dworki, pojawiające się głównie przy peryferyjnych ulicach. Jednakże w „naszej" dzielnicy karmazyny nie osiedlały się zbyt chętnie. Wśród ówczesnych kilkunastu posesjonatów mieszkających na terenie dzisiejszej „Centralki" było ich zaledwie kilku, przy czym do najlepiej urodzonych należała niewątpliwie właścicielka jedynego dworku, Imć Pani Kurdwanowska.

Obraz miasta utrwalony we wspomnianym dokumencie z 1696r. jest bezcenny z dzisiejszego punktu widzenia. Niedługo potem (1709 r.) rozszalał się bowiem w Zamościu jeden z najgroźniejszych i największych pożarów. Pastwą ognia padło kilkadziesiąt budynków. Twierdza zamknięta ciasnym pierścieniem murów, gęsto naszpikowana drewnianą zabudową paliła się jak pochodnia. Okolice cerkwi bazylianów i kościoła franciszkanów (kino „Stylowy") pokryły grubą warstwą popioły domów spalonych w 100 procentach. Skutki kataklizmu okazały się nadzwyczaj trwałe. Jeszcze w drugiej połowie XVIII stulecia ta część miasta nie zdołała się odbudować. Ba! na sporządzonym wówczas planie autor nie uwzględnił nawet południowego odcinka ulicy Bazyliańskiej oraz całej Rachańskiej.

Dopiero na początku XIX w. przybyło kilka budynków i ponownie wyodrębniły się obydwie arterie. Zaczęły się jednak wówczas czasy czynnej służby wojskowej Zamościa i na niezabudowane parcele w pobliżu fortyfikacji położyło łapę wojsko. W dalszym ciągu więc na terenie późniejszej „Centralki" obok kilku mizernych drewnianych chałupek nie było ciekawej architektury, od której jeszcze wtedy kipiał nie tylko Rynek Wielki, ale i przyległe ulice. Inżynierowie wojskowi zajęci realizacją monumentalnych obiektów militarnych w obwodzie twierdzy poprzestali jedynie na „wyprodukowaniu" całej serii planów, na których parcele przy Ogrodowej i Ślusarskiej miały być raz ewentualnym placem budowy nowych koszar, to znów przeznaczano je pod magazyny lub szpital wojskowy. Naprawdę wykonano wówczas jedynie przedłużenie ul. Ogrodowej w kierunku wschodnim, bo życzył sobie tego sam Wielki Książe Konstanty. Dużo mniej przestrzeni w tym rejonie widział jeszcze w latach 40-tych i utrwalił na płótnie „kronikarz" ówczesnych fortec Królestwa Polskiego, zdolny i sumienny malarz Marcin Zaleski.

Dopiero w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, notabene już po likwidacji zamojskiej twierdzy, stacjonujące w Zamościu pułki kozackie wybudowały tutaj sobie m. in. magazyny: żywnościowy i artyleryjski. Obok stały w dalszym ciągu drewniane rzemieślnicze domki „pod gontem", podziwiane tylko przez otaczające je jeszcze bardziej obskurne stajenki, komórki i chlewiki. Począwszy od lat 20-tych XIX w. gnieździła się w nich cała „dynastia" rzeźników Biskupskich a następnie Zakrzewskich.

Pod koniec owego stulecia nabył te prywatne place wraz z budynkami Józef Czernicki, ławnik miejski, zamościanin niezwykle rzutki i czynny, należyjący już do nowej generacji, „kapitalista" w każdym calu, o którym mawiano żartobliwie że posiada „pół Zamościa". I rzeczywiście, nie dość mu było własnej cegielni, łaźni, dużego sklepu z wędlinami oraz kilku okazałych kamienic, kiedy na miejscu dzisiejszej „Centralki" zbudował pierwszy murowany budynek w tym rejonie, kryty blachą a przeznaczony na... magazyn narzędzi rolniczych i wydzierżawiany Syndykatowi Rolnemu.

Początek naszego stulecia przyniósł dalszy wzrost znaczenia pieniądza. Ludzie pokroju Czernickiego powoli ustępowali miejsca instytucjom zajmującym się wyłącznie operacjami pieniężnymi przynoszącymi duże zyski. Wyrazem tych przemian było kupno nieruchomości Czernickiego przez dobrze prosperujące II Zamojskie Towarzystwo Oszczędnościowo-Pożyczkowe. Założone w marcu 1904 r., po ośmiu latach zrzeszało już 1023 członków, dysponując pokaźnym kapitałem obrotowym. Początkowo nie miało własnej siedziby, lecz korzystało z lokalu Zamojskiego Towarzystwa Muzyczno-Dramatycznego w domu prywatnym zamożnego stolarza Konstantego Ptaszyńskiego przy ul. Stolarskiej 33.

W czerwcu 1910 r. na jednym z zebrań zarządu (funkcję prezesa pełnił aptekarz Zdzisław Kłossowski) podjęto decyzję budowy własnego domu dochodowego, w którym część pomieszczeń przeznaczano na biura i kasę. Po rozbiórce istniejących posesji budowy nowego gmachu podjęła się firma „Architekt" braci Lucht z Lublina, przy czym wykonawca zobowiązał się w umowie oddać nieruchomość do użytku 1 lipca 1911 r. I rzeczywiście, termin zakończenia budowy trzypiętrowej kamienicy oraz dwupiętrowej oficyny, krytych dachówką, został dotrzymany. W opinii ówczesnego magistratu uchodziły one „za najpiękniejsze dla całej dzielnicy" m. in. ze względu na bogato rozczłonkowaną attykę. W tym okazałym budynku „ze wspaniałą elewacją o dobrej i mocnej konstrukcji, do której użyto wyłącznie żelaza i betonu" znajdowały się prócz biur mieszkania prywatne z wygodami (pierwsze w Zamościu światło elektryczne, wodociąg, „ogrzewanie parowe"), ekskluzywny hotel z restauracją, sklepy oraz sala kinowo-teatralna „Oaza".

Założenie centralnego ogrzewania (wykonała je firma Drzewiecki i Jeziorański) okazało się koniecznością, bowiem na niewielkim podwórzu nie było możliwości zmagazynowania wystarczającej ilości drewna opałowego. Decyzja w tej sprawie zapadła już jednak po wykonaniu kominów, których rozbiórka spowodowała wzrost kosztów budowy o 7000 rubli.

Jeszcze większy kłopot sprawiła instalacja elektryczna. Wykonawstwa podjęła się firma „Siemens i Halske", ale monterzy pracowali opieszale. Ponieważ w Zamościu nie było jeszcze wówczas elektrowni, prąd wytwarzał motor, poruszający jednocześnie pompę wodociągową oraz „aparat kinematograficzny" w sali teatralnej. Zamiast dostarczyć motor o sile 25 k. p. niesumienna firma postarała się o słabszy (22 k. p.). Sprowadzenie nowego urządzenia miało wpływ na powtórne przekroczenie zaplanowanych kosztów o dalsze 1000 rubli.

Do centralnego ogrzewania używano węgla. W 1912 r. sprowadzono furmankami za pośrednictwem syndykatu rolnego ze stacji kolei żelaznej w Rejowcu około 10 wagonów (9693 pudów) tego

Dobrze że... ciężko

Dokończenie ze str. 1

To wyciągnięte, jak lufa armatnia, ramię dźwigu ma mobilizować.

Jeden z najcięższych odcinków budowy. Teren mocno sfałdowany, z wierzchu warstewka niewinnego piasku, a pod spodem złoża gąbczastej, podmokłej maziłki, która nie chce się odklejać od łyżki. Ale to już przeszłość.

Ściany wykopu uzbrojono wzdłuż ekranami iłowymi, czyli warstwami betonu dla ochrony przed wyciekiem wód, inaczej dno wykopu stałoby się korytem strumienia.

Mimo tego na ścianach wykopu pojawiły się w kilkunastu miejscach kręte wyżłobienia, którymi ścieka woda, wsiąkając w grunt. Pracujący tutaj ludzie patrzą na te źródełka ponuro i milcząco. Ktoś w końcu mówi, że to spływa pot ludzki, którym przesiąkł ten krajobraz budowlany.

Pobliska baza firmy biłgorajskiej jest piękna. Jasne pawilony, trawniki, parkany metalowe olejno malowane, coś jakby fontanna. Biłgoraj chciał pokazać, że w warunkach polskich też można posiadać porządne zaplecze na placu budowy.

— Nie można im mieć tego za złe, a nawet wręcz odwrotnie, tylko skąd oni wzięli czas na zrobienie takiego zaplecza? — dziwi się jeden pan z firmy radomskiej.

— Biłgoraj budował zaplecze, inne firmy wtedy walczyły o najlepsze odcinki robót i teraz Biłgoraj ma roboty w kilku miejscach — słychać wyjaśnienie ze strony inwestora.

Inżynierowie i dyrektorzy z Biłgoraja od świtu kręcą się po bazie w gumiakach. Są po przepracowanej nocy, mają piasek w oczach podbiegłych krwią, zaczerwienionych jak u królika.

— Mają piasek w oczach — mówię.

— Ale nie mają piasku w rękawach — słyszę postronną odpowiedź.

Pojawia się wiadomość, że w przyszłym tygodniu minister ma przyjechać i wizytować ten odcinek. Powstaje problem, z jakim minister wyjedzie stąd mniemaniem? Dobrze, żeby układka przeszła na most, choćby za pierwsze przęsło. Czy można robić jeszcze szybciej niż dotąd? Trzeba będzie konferencję sprawozdawczo-wyborczą przesunąć o tydzień, a frajdę ministrowi zrobić tutaj.

Za Sanem układkę przejmie firma z Radomia. Sąsiedzi z Radomia przyjechali na ten wykop, żeby się rozejrzeć.

— Wszystko, co zobaczycie tutaj, nie mieści się w wyobraźni normalnego wykonawcy, ale jest skuteczne — dowiadują się na wstępie.

— Jak wygląda składowisko tłucznia? — pytają inwestora.

— Baza tłucznia to jest tłuczeń wysypany przy torze.

Jadą oglądać bazę tłucznia i uznają, że w porządku. Natomiast z tłuczniem jest taka ogólna sprawa, że przepisy polskie nie przewidują jego przeładunku, bo dotąd nie było takiej potrzeby, i nie ma cennika na przeładunek jednej tony tłucznia. Radom skarży się, że za przeładunek tłucznia płaci ogromne sumy, nie wiadomo na jakiej podstawie. Inwestor zauważa, iż mieli rozmawiać o układce, a nie o kalkulacjach.

No więc z układką Radom chciałby iść od swojej bazy w kierunku Sanu. Inwestor chciałby odwrotnie, bo są kłopoty z dostarczeniem dźwigu układkowego. Na to Radom nie chce się zgodzić i musi zasięgnąć konsultacji u własnych szefów, albowiem każdy ma jakichś szefów.

Sprawa jest poważna, firma musiałaby przez tydzień przeorganizowywać roboty, co w ogóle grozi zarżnięciem. (— Ja poczekam, aż oni zmiękną — mruczy do mnie inwestor). A ponadto w tej chwili siedzi w Radomiu jakiś wyższy szef...

— Unurzać go w problem po kolana, inaczej nas w Warszawie opisze — mówi inwestor.

Tylko że ten szef to właściwie chce zobaczyć zagraniczną podbijarkę, która idzie za dźwigiem układkowym. Ile tłucznia wchodzi na nią, jej maksymalna wydajność i tak dalej.

Gdy taka podbijarka ruszy, to ona się musi tydzień stroić. Bardzo dobry sprzęt, tylko bardzo trudny w obsłudze, dużo sterowania ręcznego, wibracja wielka, i trzeba zagranicznym operatorom postawić skrzynkę wódki, żeby naszych przyuczyli do tej roboty.

Radomiacy pytają w takim razie, jak tym pracować? Jest w Zamościu taki chłopak, złota rączka, jedyny, który się zna na tej maszynie, i miał do Radomia pojechać.

— Ale on nie dojechał jeszcze do nas.

— Przede wszystkim kwestia, jak tę maszynę przewieźć. Ona się nie mieści w skrajni drogi i w Zamościu był już przypadek, że akurat do prokuratury dojazd musieli nasi ludzie rozwalić, transportując pod wiaduktem maszynę. Akurat do prokuratury musieli rozwalić. Złośliwy zbieg okoliczności...

Radomiacy wyjeżdżają mięknąć do Radomia, pytając inwestora:

— Jak pan widzi termin przejazdu pierwszego pociągu po szerokim torze w czwartym kwartale?

— Proszę?

— Jak pan widzi termin przejazdu pierwszego pociągu po szerokim torze w czwartym kwartale?

— Zaczyna być coraz bardziej realny.

Inwestor nie ma czasu na dalsze rozmowy, bo chce jeszcze inne odcinki obejrzeć. Na LHS dawno już skończyły się strategiczne narady z naczelnikami i dyrektorami, koncentrowanie sprzętu. Zaczęły się natomiast codzienne taktyczno-operacyjne wizyty dyrektora Stachurskiego w terenie. Gdzie jaki sprzęt pracuje i czy w pełni wykorzystany? Dlaczego ten słup elektryczny jeszcze nie usunięty?

Ogromny ruch tego sprzętu, przemieszczanie setek ton ziemi, końcówka robót inżynierskich, zostaje sama układka. Dziś robi się nasypy prowadzące do wiaduktu, pod wiaduktem drogę, a jutro podjedzie tu dźwig układkowy...

Czego potrzeba na LHS tej jesieni? Przede wszystkim trochę dobrej pogody. Przede wszystkim pogody, bo reszta jest jak trzeba. Terminy napięte niczym stalowa struna, sytuacje ciężkie aż po beznadziejność — wtedy właśnie czas najlepszej roboty, zawziętej i skutecznej, wtedy wszyscy stają się ludźmi jednej sprawy. Trzeba tak, skoro nie wychodzi inaczej. Najgorsze sytuacje są najlepsze.

Maciej Podgórski

paliwa. Antracyt służył do wytwarzania energii elektrycznej (oświetlenie, pompa wodociągowa, kinematograf). Oprócz węgla w 1912 r. zakupiono trzy wagony antracytu, które wystarczyły na 15 miesięcy.

W pierwszym roku użytkowania Domu Centralnego czysty zysk wyniósł 8602 rs., ale właściciel nie był z tego zadowolony, bowiem ledwie została pokryta amortyzacja gmachu (6538 rs.).

Dom II Zamojskiego Towarzystwa Oszczędnościowo - Pożyczkowego pełnił przez szereg lat funkcję dzisiejszego Domu Kultury. Oprócz kina, o którym wiadomo jedynie tyle, że zostało zlikwidowane z chwilą wkroczenia Austriaków do Zamościa w 1914 r., nieco więcej wiadomości zachowało się o sali teatralnej, wydzierżawianej wraz z sąsiednim lokalem przez Towarzystwo Muzyczno-Dramatyczne, działające w mieście od 1906 r. Program rozwijania uzdolnień muzycznych i literackich swoich członków realizowało ono organizując wieczory muzyczno-literackie, bale, spacery, koncerty oraz przedstawienia amatorskie. Ze względu na taki właśnie charakter swojej działalności Towarzystwo musiało posiadać własny lokal. Początkowo spotkania i imprezy odbywały się w oficynie kamienicy Konstantego Ptaszyńskiego, gdzie znajdowała się sala teatralna wydzierżawiana przez właściciela w sezonie wędrownym trupom aktorskim.

Po wybudowaniu Domu Centralnego Towarzystwo przeniosło się do tego gmachu na trzecie piętro od ulicy Ślusarskiej. Jednakże ta prowincjonalna organizacja kulturalna nie przejawiała żywszej działalności. Najczęściej stosowaną formą były wieczory „tańcujące" (po kilka w ciągu roku). Koszt takiego wieczoru wahał się w granicach 400—500 rs., przy czym w czasie zabawy przeprowadzano zbiórkę pieniężną na opłacenie wydatków. W sierpniu 1912 r. Zamojskie Towarzystwo Muzyczno-Dramatyczne zorganizowało w „Oazie" amatorskie przedstawienie komedii w trzech aktach. M. Giennikuna „20 dni aresztu". W tym samym roku odbył się też koncert, w którym wystąpiły śpiewaczki amatorki: Eleonora Czarnowska oraz Maria Fudakowska — żona właściciela Krasnobrodu, będącego jednocześnie prezesem Towarzystwa. W części instrumentalnej wystąpili wówczas: skrzypaczka Zofia Świdzińska i profesor Konserwatorium Warszawskiego, pianista Szuster.

Po I wojnie światowej teatr był znacznie częściej wykorzystywany na różnego rodzaju imprezy. W kwietniu 1918 r. koncertowała w „Oazie" orkiestra włościańska St. Namysłowskiego. Kilka dni później „dzieci ochronki zwierzynieckiej odegrały baśń dramatyczną Gerson-Dobrowolskiej „O królowej Róży" przed „wytworną publicznością, wśród której przeważało okoliczne obywatelstwo ziemskie". W części muzycznej wystąpił skrzypek St. Namysłowski i pianistka Z. Plewińska. Dochód z obu imprez przeznaczono na utrzymanie niedawno powstałego internatu dla młodzieży zamojskich szkół średnich. Organizowano również odczyty. 12 maja „p. Fejfer z Florianki mówił o walce ze szkodnikami sadów demonstrując okazy rozmaitego rodzaju grzybków-pasożytów i szkodników owadów".

Dzierżawiący wówczas „Oazę" Józef Maliszewski będący jednocześnie „kierownikiem artystycznym" tego kino-teatru zaangażował baletmistrza Teatru Wielkiego w Warszawie Wacława Adlera, który opierając się o miejscowych uzdolnionych aktorów-amatorów utworzył „trupę artystyczną dającą przedstawienia wokalno-kabaretowe".

W okresie międzywojennym poziom świadczonych usług hotelu „Centralnego" obniżył się znacznie i klienci zaczęli narzekać na „brud i hałas". W latach 1917—1936 bracia Zygmunt i Stefan Pomarańscy prowadzili w „Domu Centralnym" „Księgarnię Polską", kontynuującą zamojskie tradycje wydawnicze. W sumie „Księgarnia" wydała kilkaset wartościowych publikacji naukowo-regionalnych. Ze wspomnień dra Zygmunta Klukowskiego wiemy, że jeden z narożnych lokali zajmował wówczas Żyd Aszyn, właściciel dobrze zaopatrzonego sklepu z konfekcją i galenterią. Na parterze mieściły się także zakłady usługowe: fryzjerski „uznany i uczęszczany Wawrzyszka" oraz restauracja zwana już wtedy „Centralką", prowadzona przez „ciocię" Wojnarowską. Na krótko przez wojną (1938) został otwarty duży sklep (sądząc po reklamie) Tadeusza Gejera z tkaninami. Wyższe kondygnacje budynku przeznaczone były głównie na mieszkania prywatne. Jedno z nich zajmował wybitny poeta okresu międzywojennego Bolesław Leśmian.

I na tym kończy się okres świetności Domu Centralnego. Po II wojnie światowej i obecnie jest on już tylko ogromną, największą w Zamościu kamienicą, pozbawioną efektownej attyki „zdobionej głowami faunów na osiach okien" i niezwykłych rzeźbionych postaci. Co gorsze, nie wiadomo nawet dokładnie kiedy i z czyjego polecenia dokonano tej oszpecającej „restauracji". Od 10 lipca 1951 r. gmach jest własnością państwa. Owszem i dzisiaj są w nim mieszkania, sklepy, jest dobra restauracja, jest nawet księgarnia, ale czasy młodości minęły i dobiegający siedemdziesiątki szacowny jubilat chcąc nie chcąc znalazł się na emeryturze — lecz jakże zasłużonej!

PAMIĘĆ

We wrześniu w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki przy ul. Leonarda w Lublinie czynna była wystawa dokumentów zbrodni hitlerowskich, zorganizowana przez lubelskie Koło ZBoWiD nr 13.

Większość eksponatów i materiałów wystawy jest prywatną własnością prezesa Koła, Jana Kosińskiego, który je zdobywał latami, z własnej kieszeni płacąc za fotokopie dokumentów z Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich.

Kosiński zaczął gromadzić listy i grypsy już w czasie okupacji jako więzień hitlerowskich obozów i dochował się na przykład jego list do matki, pisany po niemiecku pod dyktando blokowego, z lipca 1942 roku:

Moja Kochana Mamo! Mój nowy adres jest KL Mauthausen ober Donau, blok 14, sztuba 1. Ja jestem zdrów, wesół i powodzi mi się bardzo dobrze. Paczek do mnie pod żadnym warunkiem przesyłać nie wolno. Wolno natomiast do mnie pisać w języku niemieckim jeden list na cztery tygodnie z uwagi na oszczędność papieru w Wielkiej Rzeszy Niemieckiej. Całuję Was — Janek.

W Mauthausen był kamieniołom, gdzie pracowali więźniowie. Himmler głosił wtedy następującą prawdę: *Więzień, który nie potrafi udźwignąć pięćdziesięciokilogramowego kamienia, nie może jeść chleba niemieckiego.* Z dwu tysięcy osób, które wraz z Kosińskim przybyły do Mauthausen z Oświęcimia, zostało w ciągu dziesięciu dni sto siedemdziesiąt.

Kosiński po wojnie jako prywatny turysta pojechał zwiedzić ten obóz, który jest teraz muzeum i wstęp kosztuje cztery dolary (w przeliczeniu z austriackich szylingów), ale Kosiński będąc byłym więźniem, nie musiał płacić.

— Po co dawni więźniowie odwiedzają miejsca swojej kaźni?

— Żeby zobaczyć, czy tam wszystko jest, jak było. Czy w takim samym stanie.

— W Mauthausen jest tak?

— Rzeczywiście. Rozpoznałem swoje baraki, zszedłem po tych schodach do kamieniołomu.

Z Mauthausen Kosiński wraz ze stu pięćdziesięcioma więźniami przybył do Dachau, gdzie komendant obozu przywitał ich następująco: *Wy to macie szczęście, żeście przybyli do takiego sanatorium jak Dachau. Kto jest chory, niech się zgłasza, będą wydawane lekarstwa i bułki...* Zgłosiły się sto czterdzieści trzy osoby, których już więcej nie zobaczono. Kosiński się nie zgłosił...

Na wystawie lubelskiej znalazły się zdjęcia i dokumenty, począwszy od kampanii wrześniowej w 1939 roku, aż po przewodniki, foldery z ostatnich lat, upamiętniające miejsca zbrodni hitlerowskich w Europie. Znalazła się też księga śmierci obozu w Neuengamme koło Hamburga, sporządzona przez zachodnioniemiecki Związek Antyfaszystów i zawierająca nazwiska sześćdziesięciu tysięcy zamordowanych ludzi z całego świata. Jedna ze zwiedzających wystawę znalazła w tej księdze nazwisko swego męża, o którym sądziła, że żyje gdzieś w Stanach Zjednoczonych...

Dokumentacji zbrodni hitlerowskich przybył ostatnio w Lublinie jeszcze jeden oryginalny dokument pamięci, związany z inną ekspozycją — katalog VI Wystawy Malarstwa Grafiki i Rzeźby „Przeciw Wojnie", Majdanek 1979, wydany nadzwyczaj szybko i starannie przez Krajową Agencję Wydawniczą w Lublinie, bodaj najciekawsza pod względem poligraficznym pozycja tego rodzaju, wydrukowana po wojnie w naszym mieście. Wśród autorów eksponowanych prac widzi się tu ludzi zupełnie młodych.

Na wystawie zorganizowanej w KMPiK oglądałem księgę wpisów, a w niej liczne adnotacje młodzieży, iż *wystawa przynosi ciekawe wiadomości o ostatniej wojnie.* Wyrosły już generacje, dla których są to tylko „ciekawe wiadomości", generacje żyjące obok pokolenia, które nigdy właściwie nie wyszło z wojny. Ci, co nie mogą zapomnieć i ci, co powinni pamiętać.

PDG

oko-lice sztu-ki

Obrazy z tamtych lat

Rozmawiając o potrzebie remontu i konserwacji, o konieczności ogrodzenia ładnego parku, niszczonego przez okoliczną ludność zgodnie z lokalną tradycją — szliśmy po błyszczących posadzkach pałacu w Kozłówce, pełniącego od wielu lat, po prawdzie od jesieni 1944 roku, funkcję Centralnej Składnicy Muzealnej. Urzędową relację kierownik obiektu przeplatał krótkimi informacjami o swoich bojach z władzami powiatowymi w Lubartowie, które koniecznie chciały rządzić w dawnej siedzibie Zamoyskich, na co on, stary muzealnik i przedstawiciel Ministerstwa Kultury i Sztuki, nie mógł i nie chciał się zgodzić. Nikomu nie można ufać — dowodził — nawet to, co wisi na ścianach, dalekie jest od prawdy: kopiami są owe wielkie i małe płótna, zamawiane swego czasu w obsesyjnym zapamiętaniu przez właściciela pałacu — arystokratę o wątpliwym poczuciu prawdy artystycznej.

Tak sobie rozmawiając, doszliśmy do małych drzwi, które kryły się w ścianie rozległej sali pierwszego piętra. Puszczony przodem za ich próg — oniemiałem! Stałem na niewielkim balkonie dawnej kaplicy pałacowej, a pode mną, głuchym milczeniem wyłaniając się z półmroku, biegły w kierunku absydy dwa rzędy rzeźb kamiennych, ustawione równolegle, ale twarzami do siebie, jakby w nieustannym, choć niemym dialogu. Kościuszko rozprawiał z dojarką, Kopernik wpatrywał się w robotnika, pewien przywódca zdawał się przekomarzać z kosynierem w rogatywce. Niezwykłe wrażenie potęgowały rozmiary owych monumentów, wśród których dwu- i może nawet trzymetrowe nie należały do rzadkości, oraz ostre smugi „zwiastującego" światła, które przecinały kilka figur na wysokości szyi. W takich okolicznościach zetknąłem się naocznie z liczną reprezentacją rzeźb z okresu realizmu socjalistycznego, które trafiały do Kozłówki i innych zamkniętych obiektów gdzieś od 1957 roku, aby wegetować w samotności, niejako pod kluczem nieprzyjacielskiej, tzw. nowoczesnej, praktyki artystycznej. Wtedy, lat temu chyba dziesięć, nie przypuszczałem, że one same, a nade wszystko idee, które je wydały, staną się wkrótce przedmiotem żywej, wcale nie prześmiewczej uwagi: historyków sztuki i zwyczajniejszej publiczności.

Nie jestem zorientowany dokładnie, ale bodaj trzy czy cztery lata temu jeden z referentów krajowej sesji historyków sztuki wystąpił z obroną socrealizmu w architekturze, zaskakując zresztą mocno to konserwatywne gremium swoją postawą. Ostatnimi czasy odbyło się kilka wystaw, prezentujących malarstwo, grafikę i rzeźbę z pierwszej połowy lat pięćdziesiątych — nieważne, że w sposób fragmentaryczny. W 1978 roku Poznań urządził ekspozycję pt. „Polski Plakat Realizmu Socjalistycznego". Niedługo wyjdzie (wyszła?) książka znanego krytyka sztuki, który biorąc aktywny udział w promowaniu wiadomego realizmu na naszym gruncie, zamierza oto zrekonstruować skomplikowaną wielce historię, nie licząc się z kłopotami natury towarzyskiej, jakie może spowodować opracowanie. Wiem od innego autora, że na uniwersytecie wrocławskim kończy on pracę magisterską o sztuce realizmu socjalistycznego. A teraz, dokładnie 7 października br., Muzeum Kazimierza Dolnego otwarło wystawę „Malarstwo okresu kształtowania się władzy ludowej w Polsce 1949—1955", która mimo jesiennej pory, spychającej powoli miasteczko w stan hibernacji, ściąga wcale liczną publiczność.

W Galerii Letniej kazimierzowskiej instytucji można zatem zobaczyć portrety działaczy polskiego ruchu robotniczego, autorstwa Władysława Filipiaka, Alfreda Lenicy czy Hanny Rudzkiej-Cybisowej, namalowane w sposób tyle różny, co bezwzględnie czytelny. Można zobaczyć wizerunki przodowników pracy, obrazy z odbudowy stolicy, z pracy na roli i w przemyśle, z biblioteki wiejskiej i Nowej Huty, z kuźni mechanicznej i punktu skupu zboża, a nawet z przychodni przeciwalkoholowej. W niebanalnym pomieszczeniu nowej galerii muzeum przedstawia się zatem pokaźny fragment polskiej historii powojennej: nasze spełnienia, nadzieje, zadania i mity.

Autorzy tych płócien albo chwalą kogoś lub coś, albo wskazują odbiorcy wartości godne i warte uznania. Nieuchronnie więc prowadzą w rejony nudy, dydaktyki i apoteozy naiwnej. Tymczasem miast zniechęcać się, ludzie chętnie oglądają wystawę, żywo rozprawiają przed portretem „Towarzysza Bochenka" namalowanym przez Jana Zamoyskiego czy przed pejzażem pt. „Przyszły Dom Kultury w Kazimierzu" Stanisława Szczepkowskiego. Dlaczego?

Odpowiedź zdaje się tak trudna, jak złożone były okoliczności powstawania realizmu socjalistycznego, który faktycznie w Polsce nie ukonstytuował się pod postacią w miarę jednorodnego stylu. Może niektórzy widzowie widzą w obrazach wspomnienia młodości, własnej zetempowskiej biografii? Może do innych, mniej obytych ze sztuką, przemawia czytelna, krzyżująca ubiegłowieczny realizm z koloryzmem formuła płócien? Może znawcy przedmiotu zyskują okazję do ogólniejszej refleksji, tyle estetycznej, co historiozoficznej?

A może wystawa ta, podobnie jak pokrewne jej manifestacje z minionych kilku lat, zapowiada rzetelne, analityczne wyeksponowanie społeczne tych problemów, które określały losy i świadomość Polaków przed ponad ćwierćwieczem...

IJK

Agostinho Neto

OGIEŃ I RYTM

To szczęk łańcuchów na wypalonych drogach,
To ptaków śpiew w zieleni lasów,
Tam, gdzie szepczą ze sobą palmy kokosowe...
Ogień, ogień
tańczy na trawie,
Ogień, ogień
nad dachami...
Ogień drogi w popiół zamienia,
Biegną w popłochu ludzie...
Drogi uchodzące za horyzont,
Drogi pod żarem słonecznym,
Ruchy znużonych rąk,
Migotliwy blask ognisk,
I dźwięki czujnych tam-tamów.
Rytm płomieni,
Rytm szybkiego oddechu,
Kroki bosych poranionych nóg
W pyle spalonych przez płomienie dróg
Ruch rąk
i spod paznokci krew...
Oto Afryki, mojej Afryki żałosny śpiew!

Przełożył Jerzy Pleśniarowicz

Stefan Wolski

ZADUMA

Godzina nie jest szlachetnym kamieniem
ostatnia w pełnię oprawiona szlaku
czymże jest tedy kwiat zwarzony mrozem
ostatnia kropla kęs ostatni chleba
czym dla wędrowca ta właśnie godzina

Z łańcucha czasu który kropelkami
ścieka ze wszystkich miar swoich na świecie
ona jest jedna intymna tożsama
i ciebie pozna choćbyś się jej wyparł

Na nic więc szybkie ucieczki w nietrwanie
kędy w bezmyślu nic nie krzesze natchnień
i gdzie na półkach wystygłych pamięci
głód zdobywania przestał już kustoszyć

Lecz ty nie pójdziesz tam dziś ani jutro
bowiem z westchnienia są twoje godziny
z którego mostów nie ma ani domów
pod szlify rytmy i rozbiegi bytu
lecz rosną kwiaty są źródła i chleby
i są czasami ostatnie miłości

Jakaż więc będzie ostatnia godzina
intymna jedna tożsama w tych kształtach
która tam trafi i kwiaty i ludzi
skoro nie będzie szlachetnym kamieniem
wielkich rozliczeń lub pełnej nicości

Szkice rysunkowe Edwarda Inglota

Waldemar Michalski

NAD ŁABĄ

Przymykam oczy i znowu jesteśmy
nad Łabą — wędrujemy po obcym brzegu
i w lustrze wody swoje drogi czytamy
aż nagle krzyk mewy twarze od siebie odrywa
i ostry smak wody na dłoniach zostaje.

W stalowych przęsłach tylko wiatry
z czterech stron świata a echo pieśni
sprzed wieków beton przykrył wzdłuż brzegu:
weź Janie cytrę bo się rzucę w nurt
czarnej wody — graj graj bo serca nie staje!

Jak długo prawdy będziemy się uczyć od nowa
aby dłoń przylgnęła do dłoni jako nadzieja do wiary
czy myślałaś o tym stojąc w magdeburskiej krypcie
gdzie pięć mądrych panien płonęło ze szczęścia
a tyleż głupich ciągle tylko łkało?

Paweł Kubiak

W NASZYM POKOJU PŁACZE DZIECKO

Mówisz do mnie: bądź ze mną.
I myślisz wtedy o wielu różnych
sprawach, myślisz o lustrzanym pokoju
swoich pragnień, i myślisz też
o solidnym meblu w ulubionym stylu,
który chciałabyś obchodzić dokoła
każdego ranka, który byłby dla ciebie
stołem, fotelem, pieskiem i fortepianem...

Mówię do ciebie: bądź ze mną.
I zaraz myślę, że świat jest
radosnym lunaparkiem, i mocno wierzę,
że będziesz dla mnie matką i kochanką...

Potem mówimy: przywołuje nas dziecko —
kwiląca, nieuzasadniona skarga.

„LUBLIN POWINIEN MIEĆ PIERWSZĄ LIGĘ"

Z trenerem Motoru Bronisławem Waligórą rozmawia Bronisław Kowalski

— Od początku bieżącego roku prowadzi pan piłkarski zespół RKS Motor, a już jest pan popularny wśród lubelskich kibiców i lubiany przez nich. Czy pan wie dlaczego?

— Nie, nie wiem, ale chyba pan mi powie.

— Za odwagę, zdecydowanie, ambicję i sukcesy. Przyjmuje pan to do siebie?

— Ja muszę ryzykować taki mam zawód. Żeby ryzykować trzeba być odważnym...

— ...zdecydowanym i ambitnym. Zgadza się pan z tym, co ludzie mówią?

— Oczywiście.

— Został pan trenerem porzucając możliwość kariery w innym zawodzie...

— Studiowałem na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, jestem magistrem chemii. Po studiach pracowałem w Bydgoszczy jako pedagog, jednocześnie grając w piłkę nożną. A gdy poczułem, że mogę pograć w lidze jeszcze najwyżej dwa, trzy lata, zacząłem zdobywać kwalifikacje trenerskie. Potem pracowałem jako chemik i trenowałem w Zawiszy Bydgoszcz pierwszy zespół. Przez kilka lat ciągnąłem dwa wózki.

— Ale ten piłkarski był bardziej niepewny?

— No, oczywiście, lecz potrafiłem jakoś podzielić sobie pracę. Wywiązywałem się z obowiązków w zakładach radiowych Eltra i obowiązków pierwszego trenera w Zawiszy. Dyrekcja Eltry nie zwalniała mnie tak łatwo, zaznaczając, że zostanę skierowany do pracy sportowej, ale nie kosztem planu produkcyjnego. Więc i plan musiał być zrealizowany i kierownictwo Zawiszy musiało być zadowolone z osiąganych wyników.

— Było tak?

— Jakoś mi się udawało.

— Podobno przymierzał się pan do pracy doktorskiej z chemii.

— Tak, cztery lata temu, gdy pracowałem w Świdniku, rozpocząłem pracę nad doktoratem.

— Co z tym będzie?

— Zdecydowałem się przerwać, bo pochłonął mnie sport.

— W chwili naszej rozmowy drużyna piłkarska Motoru ma siedem zwycięstw. Tak już jest, że im lepszy początek, tym większa odpowiedzialność za finał, ale końcówki rozgrywek nasza drużyna miewała dotąd słabe. Czy panu i zawodnikom wystarczy energii i woli, by zmienić tę regułę?

— Trudno mi o tym mówić, ponieważ ja nie miałem jeszcze możliwości przekonać się, czy tak jest.

— Ale kibice wiedzą.

— Możliwe, że poprzednio błędy tkwiły w procesie szkolenia. Ze zwycięstw cieszymy się, oczywiście, mamy ich tyle co Gwardia Warszawa, lecz ciąży na nas duża odpowiedzialność. A sport ma to do siebie, że zawsze mogą nastąpić w zespole chwilowe kryzysy. Tutaj jest sprawa nie tyle w umiejętnościach zespołu, ile w psychice zawodników. Ale również i te trudności trzeba pokonywać.

— Zwłaszcza pod koniec drugiej rundy rozgrywek.

— Uważam, że zespół jest na tyle dobrze przygotowany, aby wahań formy nie było. Ja to kontroluję już w procesie szkolenia. W czasie zajęć wyczuwa się, czy zawodnik przechodzi kryzys psychiczny. To ważne, bo waga meczów ligowych najbardziej oddziałuje na psychikę zawodników.

— Jak pan może ich uodpornić?

— Przed szczególnie ważnymi zawodami trzeba ich odizolować od środowiska sportowego, od kibiców, którzy ciągle mówią, że spotkanie trzeba wygrać, wygrać. Przez dobę, dwie zawodnik musi nie myśleć o spotkaniu.

— Co pan robi, żeby o tym nie myślał?

— Wywożę zawodników w zaciszne miejsce. Jest to odizolowanie od znajomych, od rodzin, od trosk. Przez dwa dni na zgrupowaniu przed spotkaniem mistrzowskim buduje się psychikę zawodnika.

— Dwa dni wystarczą na zbudowanie psychiki?

— Ja uważam, że tak.

— Gdy przejął pan drużynę Motoru, chodziło głównie o odnowę zespołu i metod pracy. Podobno ostro postawił pan w klubie sprawy osobistego decydowania o tych metodach.

— Każdy z trenerów ma własne, wypracowane formy pracy i nikt nie ma prawa włączać się do tych spraw, ponieważ ci ludzie się najczęściej na tym nie znają...

— Ci ludzie to kto?

— Mówię o działaczach, którzy najczęściej nie pomagają, a przeszkadzają w pracy szkoleniowej. I tak sobie postawiłem, że nikt absolutnie nie ma prawa włączać się do moich form i metod pracy. Jeśli się daje trenerowi odpowiedzialność przed opinią publiczną, to trzeba mu dać wolną rękę. W tej chwili zespół jest na najlepszej drodze, żeby nie zawodzić kibiców. Bo można przegrać mecz, ale zależy w jakim stylu się przegrywa.

— Powiada się, że pan jest doskonałym trenerem, gdy trzeba ratować drużynę, podciągnąć jej poziom

— Miałem takie przypadki. W Zawiszy, kiedy zespół był na dnie, trzykrotnie ratowałem drużynę przed spadkiem z ligi. Podobnie było, gdy zjawili się u mnie piłkarze z Widzewa z Bońkiem na czele i prosili o pomoc, ponieważ Widzew był na trzy tygodnie przed wielkim meczem z Manchester City w pucharze UEFA. Wiedziałem, że to duża szansa dla mnie i dla zespołu i wyciągnąłem Widzew oraz wygraliśmy z Manchesterem.

— Dlaczego pan odszedł z Widzewa?

— Dlaczego...? No, były niedomówienia, nieporozumienia między zarządem klubu a mną i zrezygnowałem, choć zespół był w doskonałej formie. Na tym bym zakończył wypowiedź, musiałem podjąć tę decyzję.

— Jak osiągnęliście w Motorze siedem zwycięstw pod rząd? W ciągu kilku miesięcy przeobraził pan zespół z przegrywającego w wygrywający.

— Kiedy tu przyszedłem, zaplanowałem eksperymentowanie z zespołem, żeby wiedzieć wszystko o zawodnikach. Uzyskałem realny obraz wartości każdego z nich. Nie zależało nam w ubiegłym sezonie na zajęciu najlepszego miejsca, ale zaplanowaliśmy sobie w nowym, obecnym sezonie wzmocnić zespół i zaatakować pierwszą ligę. A poza tym wierzę w jedno — w solidną i uczciwą pracę.

— Pracował pan nad kolektywem w drużynie.

— Udało nam się zrobić dobry kolektyw. Jest duże koleżeństwo i atmosfera walki. Wiemy, że w zespole nie mamy zbyt dużych indywidualności tak, jak Gwardia. Oni są otrzaskani z pierwszą ligą, grają piłkę bardziej techniczną, ale my gramy piłkę szybką. Możemy większą kolektywnością, szybkością i zdecydowaniem wygrać rywalizację z Gwardią.

— Czy zawodnicy Motoru nie skarżą się, że pan im za bardzo daje w kość, jak to się mówi?

— Muszę szczerze powiedzieć, że skarżą się, ale widzą efekty, jakie osiągają i uważają, że to jest wskazane. Nie może być mowy, żeby zespół w jakimś spotkaniu nie wytrzymał kondycyjnie. Nawet jeśli nie dysponujemy zbyt dużymi umiejętnościami, to często na skutek doskonałej kondycji możemy nawet w końcowych minutach rozstrzygnąć spotkanie na własną korzyść.

— Czy pan umie przegrywać? Kiedyś to się zdarzy przecież.

— No, więc trzeba również umieć przegrywać. Trzeba umieć zachować twarz, jeśli ktoś się okaże lepszy.

— Pan sam był piłkarzem?

— Grałem przez szesnaście lat w pierwszej i drugiej lidze. Cztery lata w Pomorzaninie, a potem w Zawiszy Bydgoszcz, od 1956 do 1967.

— Ile pan strzelił bramek?

— To trudno zapamiętać. Dwukrotnie byłem królem strzelców w drugiej lidze.

— Czy lepiej się rozumie piłkarzy, będąc trenerem, gdy grało się samemu?

— Z całą pewnością. Każdy trener powinien być piłkarzem. Ma się wówczas wyczucie, czego piłkarzowi trzeba, czego nie.

— Pan podobno pilnuje nawet, jak są przez piłkarzy wydawane diety żywnościowe.

— Tak, nie mogę tu pozwolić na żadne oszczędności. A oni często oszczędzali. Wprowadziłem jednolity system żywienia. Dania są przygotowywane przez lekarza, lub przez magistra odnowy, który zna higienę wyżywienia. Chcąc wymagać od zawodnika dużej wytrzymałości, trzeba mu dawać odpowiednią ilość kalorii.

— Czasem jadacie obiady w restauracji Stylowa.

— Tak. Mamy tam jeden posiłek w dniu, gdy są dwa treningi, a to bywa często.

— A co mówią kucharze na te wysokie wymagania?

— Oni spełniają nasze życzenia, ponieważ to są ludzie, którzy chodzą na nasze mecze, wiedzą, że piłkarz musi dobrze zjeść, więc wszystkie potrawy wysokokaloryczne zachowują dla grupy sportowej. To jest bardzo chwalebne.

— I mają bilety za darmo?

— Tak, szefowa kuchni ma karnet, bardzo się interesuje sportem.

— Panie trenerze, piłka to obecnie studnia bez dna, jeśli chodzi o pieniądze. Czy nic się nie da zmienić? Czy zawsze sport będzie mamił forsą, a czyste amatorstwo pozostanie marzeniem?

— Amatorstwo jest, powiedzmy sobie, w sferze marzeń. W obecnym systemie rozgrywek podłoże finansowe jest niezmiernie ważne. Nie wiem, co pan miał na myśli, mówiąc o sprawie finansowej? Mnie chodzi o dobre warunki materialne dla piłkarzy. Ten wydatek finansowy musi się zrekompensować dobrym widowiskiem dla kibiców, którzy mają prawo krytykować.

— Miałem na myśli nie te oficjalne pieniądze, ale forsę nieoficjalną. Czy to się da wyeliminować?

— Na pewno wiele jest w tym tajników. Ja bym nie chciał na ten temat obszernie się wypowiadać, bo na pewno kibice dobrze się orientują. Mogę jedno powiedzieć: w Motorze płacimy zgodnie z regulaminem.

— Dziennikarze lubelscy już wspominali o tzw. zielonym stoliku, przy którym może się rozstrzygnąć finałowy układ tabeli w grupie Motoru. Czy ma pan dość wiary w czystość walki, by się nie przejmować czarną wizją zielonego stolika?

— Tego się najbardziej obawiam. Nie chciałbym zbyt głośno na ten temat mówić, ale wszyscy zdajemy sobie sprawę, że to będzie trudna rywalizacja. Wierzymy, że Warszawa da nam zielone światło. Bo Lublin powinien mieć pierwszą ligę. Gdyby nie zielony stolik, to jestem przekonany, że rywalizację od strony sportowej powinniśmy z Gwardią wygrać.

— O kulisach układów, które decydują o rezultatach ligi czasem ktoś „puści farbę". Pan chyba też musi się liczyć z układami?

— Musimy się liczyć. I musimy te układy pokonać.

— Wśród kibiców powiada się, że poprzednie rezultaty końcowe piłkarskiej drużyny Motoru nie zawsze zależały od faktycznych możliwości zawodników. Proszono, bym zapytał o to, że przecież pan może nie mieć wpływu na fakt, że nie wszyscy zawodnicy będą mieli chęć walczyć o pierwszą ligę, bo wiadomo, że wszyscy się tam nie zmieszczą. Ile w tym przypadku zależy od trenera?

— W tej chwili jestem przekonany, że zawodnicy chcą wejść do pierwszej ligi. Choć kiedyś była taka psychoza, że lepiej grać w drugiej lidze, trzymać się czołówki...

— ...środka tabeli?

— ...środka tabeli, bo w pierwszej lidze można być w szarym ogonie i pogarszać sobie warunki finansowe. Obecnie jest duża przychylność władz polityczno-administracyjnych dla zespołu, które nam pomagają. Dla piłkarstwa w Lublinie wytworzył się doskonały klimat. I ja zaprzeczam jakoby wśród zawodników była psychoza lęku przed pierwszą ligą. Jeśli chodzi o drugą część pytania, to zespół obecny nie jest najsilniejszy, wiadomo że trzeba by było go wzmocnić w pierwszej lidze dwoma, trzema zawodnikami. Istnieje takie prawo w sporcie: rotacja musi być.

— To wszystko zawodnicy wiedzą?

— Jasne, że wiedzą. W myśl prawa dżungli, ja tak to nazywam, słabszy musi odpaść, silniejszy pozostać. Ale teraz wszyscy w Motorze chcą grać, wszyscy walczą jak lwy, a to jest najistotniejsze.

— Trenerzy często zmieniają kluby, ale czy nie byłaby lepsza długa praca z zespołem i wychowanie przez kilka lat naprawdę silnego zespołu?

— To, co pan powiedział, byłoby słuszne w praktyce. PZPN zastanawia się obecnie, by pod tym kątem opracowana została karta trenera. Gdyby trener pracował dłużej w klubie, wychowałby sobie odpowiednią ilość zawodników wartościowych dla potrzeb zespołu. A często ta rotacja wytrąca z rytmu zawodników, bo każdy trener ma inne metody pracy.

— Czy pan, jako trener, nie boi się sytuacji, że wychowa talent piłkarski, rosnący w gwiazdora, a on wykorzysta przeciwko trenerowi fakt, że prześcignął nauczyciela?

— Nie obawiam się tego, bo uważam, że trener musi swoje umiejętności stale podnosić. Nie powinno być takiego momentu, aby zawodnik przerastał nauczyciela, bo wówczas wytwarza się zły klimat. A jeśli chodzi o gwiazdorów, to trzeba umieć dawać sobie z nimi radę. Im lepszy, tym bardziej powinien być skromny.

— Plotka mówi, że miał pan jednak kłopoty z Bońkiem.

— A, to jest absolutna plotka. Rzeczywiście plotka. Boniek to chłopak o trudnym charakterze, ale bardzo inteligentny i można z nim znaleźć wspólny język.

— Kilka osobistych pytań. Czy pan jest żonaty? Czy ma pan dzieci?

— Jestem żonaty, mam dwoje dzieci, córkę i syna. Córka studiuje w Poznaniu medycynę, a syn uczy się w szkole średniej.

— Czy on będzie piłkarzem?

— No, to drażliwe pytanie. Ja uważam, że nie. Sam przeżyłem wiele trudów, bo sport to ciężka praca i chciałbym, żeby syn kontynuował naukę. Praca piłkarza jest ciężka, ojciec to przeszedł, niech syn ma lżejsze życie.

— A w domu rodzinnym kto jest trenerem — pan czy żona?

— No, hm, ja uważam... mąż powinien być... to znaczy... ja.

— Powinien?

— No... tak... Żona bardzo się interesuje sportem, dzieci przeżywają tutejsze spotkania piłkarskie. Zresztą od początku tak było. Ja jestem tutaj, na Lubelszczyźnie, żona jest w Bydgoszczy. Ciężko jest, bo prowadzę dwa domy — klubowy i rodzinny. Wyjeżdżam co dwa tygodnie na jeden dzień. Siedzę w samochodzie 12 godzin, a jestem w domu tylko pięć.

— Czy panu czasem śni się piłka we własnej bramce?

— Gdy kładę się spać, staram się zapominać o tym. Chcę wypocząć psychicznie. Wieczorem ma się dosyć sportu.

— I na koniec: piłka nożna to obecnie świątynia tajemnic. Czy ma pan również takie tajemnice, których by mi pan za nic nie zdradził?

— W piłce nożnej istnieje wiele tajników. I nie należy ich zdradzać.

Kamena str. 7

MOSKWA '79 (2)

Film i historia

Mirosław Derecki

MOSKWA, sierpień, upał, wczesne przedpołudnie. Wychodzę z metra na stacji „WDNH". Ten z pozoru zagadkowy „kryptonim" jest doskonale oczywisty nie tylko dla moskwiczan, ale i chyba dla każdego obywatela Związku Radzieckiego: „Wystawka Dostiżenij Narodnowo Choziajstwa" — słynna, tłumnie odwiedzana Wystawa Osiągnięć Gospodarki Narodowej. To największe pod gołym niebem „muzeum" Związku Radzieckiego rozciąga się na przestrzeni 216 hektarów, w północnej części Moskwy, tam gdzie kończy się szeroki obramowany zielenią, Prospekt Mira przechodząc w Szosę Jarosławlską, na miejscu niegdysiejszej wioski Ostankino.

WDNH jest jakby ogromnym ogrodem, w którym wznosi się 300 różnorodnych budynków, a przede wszystkim 80 wielkich pawilonów wystawienniczych ze stoma tysiącami eksponatów — często zmienianych dla uaktualnienia — ukazujących osiągnięcia rolnicze, przemysłowe, kulturalne, artystyczne, naukowe, Związku Radzieckiego.

Moskwiczanie przychodzą na WDNH nie tylko dla oglądania ekspozycji; z biegiem lat bywanie na „Wystawce" stało się miejscową tradycją. Odwiedza się Ostankino również w celach rekreacyjno-towarzyskich.

Na pierwszy rzut oka tereny wystawowe WDNH sprawiają wrażenie odbywającego się tutaj jakiegoś wielkiego, ludowego festynu. I dopiero po pewnym czasie uświadamiamy sobie, że się nie pomyliliśmy: wystawa ma w sobie na stałe coś ludycznego, co stanowi o jej specyfice i wyjątkowym charakterze.

Na WDNH można obejrzeć właściwie wszystko: od rakiet kosmicznych do najnowszych modeli butów. Przez parkowe aleje i wystawiennicze pawilony przelewa się bezustanny potok zwiedzających. W 1974 r. było ich 11 milionów.

Kieruję się w prawo — mijając z daleka wzniesiony niedawno, wielopiętrowy, zbudowany na planie półksiężyca hotel „Kosmos" — tam, gdzie w wielkim, nowoczesnym pawilonie eksponowana jest, będąca najnowszą atrakcją WDNH i ciesząca się ogromną frekwencją, wystawa „60 lat kina radzieckiego".

Pawilon mieszczący ekspozycję — lekki w rysunku, o szklanych ścianach i wgiętym, opadającym łagodnie dachu — jest przecież budowlą ogromną, liczącą wiele tysięcy metrów sześciennych pojemności. Został pomyślany jako jedna przestronna hala o czterech wewnętrznych kondygnacjach, na których rozmieszczono różne działy ekspozycji. Pawilon, będący obecnie największą budowlą Wystawy Osiągnięć Gospodarki Narodowej został zaprojektowany w związku z Wystawą Światową w Montrealu w 1967 r., i mieścił tam wystawę Związku Radzieckiego. Po zakończeniu Wystawy Światowej rozmontowano go, przewieziono z powrotem z Kanady do ZSRR i postawiono w Moskwie na terenie WDNH.

Zanim jednak wejdziemy do wnętrza, przyjrzyjmy się wielkiemu posągowi stojącemu przed wejściem do pawilonu: jest to znany wszystkim miłośnikom radzieckiego kina posąg sygnujący w czołówce filmy moskiewskiej wytwórni „Mosfilm". Przedstawia „Robotnika i Kołchoźnicę" trzymających wspólnie w złączonych, wyciągniętych wysoko w górę rękach sierp i młot.

Wysoka na 25 metrów i ważąca 75 ton stalowa rzeźba stanowi dzieło radzieckiej artystyki Wiery Muchiny, zaprojektowane dla Pawilonu Radzieckiego na Paryskiej Wystawie Światowej w 1937 r. Ten monument stał się dla świata jednym z symboli Związku Radzieckiego. A w świecie kina jest on powszechnie znanym wyróżnikiem „Mosfilmu". Jak siłacz uderzający w gong jest wizytówką brytyjskiego filmowego koncernu Ranka a groźny lew — amerykańskiej wytwórni „Metro-Goldwyn-Meyer".

Wystawa „60 lat kina radzieckiego" (27 sierpnia 1919 r. Włodzimierz Lenin podpisał na Kremlu słynny „Dekret o przejęciu przez Ludowy Komisariat Oświaty zarządu nad handlem i przemysłem fotograficznym i filmowym") została otwarta 4 lipca 1979 r. i tylko do połowy sierpnia zwiedziło ją ponad pół miliona osób. Wystawa jest pomyślana jako przegląd osiągnięć kina radzieckiego: — w ciągu sześćdziesięciu lat istnienia, eksponaty na niej umieszczone idą w dziesiątki tysięcy. Przede wszystkim jednak warto zwrócić uwagę na niezwykle interesującą formułę, która nadała kościec całej ekspozycji: główny redaktor wystawy, W. L. Sinielnikow, doszedł do wniosku, że ogromny zbiór eksponatów musi zostać podporządkowany elementom związanym nierozerwalnie z istotą kina: ekranowi oraz ruchowi. Tak więc ekspozycja nie stała się martwym zbiorem przedmiotów, fotosów, dokumentów i afiszów filmowych, ale wprowadzono do niej ciągły ruch, bezustanną zmianę, atakowanie zwiedzającego ze wszystkich stron efektami charakterystycznymi dla sztuki filmowej. W ten sposób powstał rodzaj jakby gigantycznego „happeningu": przyciągają uwagę bezustannie zmieniające się barwne slajdy ułożone w specjalne cykle tematyczne związane z historią i gatunkami filmowymi radzieckiego kina, co krok napotykamy na małe i duże, klasyczne i panoramiczne ekrany filmowe, na których wyświetlane są fragmenty filmów fabularnych, dokumentalnych, rysunkowych lub naukowych. W ciągu godziny, krążąc po różnych poziomach pawilonu wystawowego, przypominamy sobie wszystko to, co widzieliśmy w życiu najciekawszego w kinie radzieckim.

Ale już oto poddajemy się magii przedmiotów: wkraczamy nie wiadomo kiedy do magnackich salonów, bajkowych pałaców lub zwykłych wiejskich chat. Tyle że... pozbawionych jednej ze ścian i „umeblowanych" dodatkowo szynami, po których przesuwa się bezgłośnie wózek z ruchliwym ramieniem kranu podtrzymującego — martwą w tej chwili kamerę filmową. Dalej zaczyna się kraina iluzji szczególnej: dział poświęcony trickom filmowym — baseny z wodą udające oceany z pływającymi po nich okręcikami-zabawkami, które w filmach wojennych jawiły nam się jako spowite ogniem i dymem pancerniki lub krążowniki, balony na uwięzi, samoloty, łodzie podwodne przepływające o cal od groźnych zapór minowych... I zaraz za następnym zakrętem — konkret: z jednej strony, rodzaj ni to szkatułki ni to pozytywki ze szklanym wizjerem, przez który można zajrzeć do wnętrza. To jeden z najdawniejszych przodków kinowej rodziny, cinematoskop, który pozwalał śledzić z zapartym tchem... konia w biegu. Z drugiej strony stoi skomplikowana, nowoczesna kamera filmowa do zdjęć kosmicznych. Ta sama, która rejestrowała oderwanie się od ziemi rakiety wynoszącej w kosmos pierwszego sztucznego satelitę i również tej, jaka następnie niosła ku niebu pierwszy ziemski pojazd kosmiczny z człowiekiem na pokładzie. Stalowe ścianki pojemnika, w którym znajdowała się wówczas kamera, są nadtopione przez ogień. Przez płomień, który — jak napisał później jeden z radzieckich dziennikarzy „obwieścił światu zapoczątkowanie ery kosmicznej".

I wreszcie przyszłość kina — holografia. Zdjęcia sprawiające wrażenie doskonałej trójwymiarowości, wykonane przy wykorzystaniu techniki laserowej. Jedno z ostatnich osiągnięć radzieckiego Instytutu Badań Kino- i Fotograficznych.

Na trzeciej kondygnacji prezentowane są kinematografie republikańskie. Powszechną uwagę budzi autentyczna jurta wykorzystana w jednym z filmów wyprodukowanych przez wytwórnię „Kazachfilm"...

Spotkały się na wystawie „60 lat kina radzieckiego" wszystkie, najdalej od siebie nawet leżące, kinematografie republik ZSRR. Tak jak kiedyś, w tym samym miejscu, spotkali się na wystawie w Ostankino i zapałali wzajemną miłością od pierwszego wejrzenia świniarka z rosyjskiego kołchozu i smagły pasterz z odległego Dagestanu...

Pamiętacie film „Świniarka i pastuch" Iwana Pyriewa? Przyszedł do nas tuż po wyzwoleniu, w 1944 roku, przywieziony do Polski przez wojska radzieckie. Występowała w nim urocza Maryna Ładynina, jej ukochanym był piekielnie przystojny Dagestańczyk Musaib, a „tym trzecim" którego niecne machinacje mające na celu zajęcie miejsca Musaiba przy boku krasawicy Głaszy zostały w kulminacyjnym momencie rozszyfrowane — był młody jeszcze wówczas, niezapomniany Kuźma Kriuczkow. Akcja wesołej, beztroskiej muzycznej komedii Pyriewa, która wniosła w 1944 r. iskrę radości do naszych powstających z gruzów kin, rozpoczynała się właśnie na wielkiej wystawie rolniczej w Moskwie. Została ona otwarta w Ostankino 1 sierpnia 1939 r, cieszyła się olbrzymią popularnością, a z czasem, w 1959 r., powstała m. in. na jej bazie WDNH. Właśnie w czasie owej pierwszej wystawy rolniczej w Ostankino Iwan Pyriew zobaczył tutaj obrazek, który stał się inspiracją dla jego filmu: obok grającego na fujarce egzotycznego pasterza szła roześmiana rosyjska dziewczyna pędząc przed sobą stadko prosiaków... Premiera owej beztroskiej komedii odbyła się 7 listopada 1941 r. Był to już wówczas, niestety, film sięgający pamięcią do radosnych chwil, do... odległych czasów dziejących się przed napaścią wojsk Hitlera na Związek Radziecki.

Na drugiej kondygnacji prezentują swój dorobek centralne radzieckie wytwórnie filmowe. Zatrzymajmy się chwilę przy tych, które działają w Moskwie.

Oto studio „Mosfilm". Największa wytwórnia w Związku Radzieckim. Pracuje w niej 5 tysięcy osób, produkuje się tutaj rocznie 50 fabularnych filmów kinowych i liczne filmy telewizyjne. „Mosfilm" powstał w styczniu 1924 r. i tutaj właśnie pojawił się wkrótce młody człowiek, który nazywał się Siergiej Eisenstein, i który miał niedługo potem wyreżyserować swój „Strajk" i „Pancernik Potiomkin". Z „Mosfilmem" wiążą się nazwiska najwybitniejszych ludzi radzieckiego kina: Pudowkina, Dowżenki (który tutaj sadził istniejący do dzisiaj sad), Ochłopkowa... Tutaj została wyprodukowana „Wojna i pokój" Sergiusza Bondarczuka i tu ostatnio powstał zapowiadany i na naszych ekranach wielki filmowy fresk o powstaniu przewodzonym przez Jemieliana Pugaczowa.

Studio im. Gorkiego specjalizujące się w produkcji filmów dla dzieci i młodzieży jest o rok starsze od „Mosfilmu". Powstało w 1923 r., zresztą w oparciu o istniejące już dawniej studia „Mieżrabpom-Russ". To tutaj właśnie została nakręcowa „Matka" Wsiewołoda Pudowkina, „Koniec Sankt Petersburga", „Potomek Czyngis Chana", tutaj Dżiga Wiertow kręcił „Trzy pieśni o Leninie", tu wyprodukowano pierwszy radziecki film dźwiękowy, pierwsze filmy barwne, tu wreszcie powstał pierwszy radziecki film dźwiękowy dla dzieci „Podarte trzewiczki" M. Barskiej. Studio im. Gorkiego produkuje m. in. 20

LIST ZE SZCZECINA

Prezentacje malarstwa — zbliżenie kultur

Zdzisław Czapliński

PRZY końcu września zakończyła się w Szczecinie VIII Prezentacja Malarzy Krajów Socjalistycznych. Impreza odbywa się w dwuletnich odstępach i gromadzi coraz ciekawsze indywidualności artystyczne.

Jaki był jej rodowód? Pierwsza odbyła się w 1965 roku, zrodzona na kanwie osobistych znajomości i przyjaźni szczecińskich plastyków i poetów z grupy „Metafora" z kolegami z krajów socjalistycznych. Jej ramy były wówczas wyjątkowo skromne, ale od zarania założenia i ambicje inicjatorów mierzyły bardzo daleko, bowiem sięgały samej formuły kultury socjalistycznej.

Później nastąpił okres przyglądania się i wyczekiwania, kiedy to mecenasi nie bardzo kwapili się z patronatem. Dopiero w 1973 roku szczecińska wystawa została oficjalnie uznana i umieszczona w kalendarzu Ministerstwa Kultury i Sztuki wśród imprez nobilitowanych maksymalną liczbę gwiazdek.

Ranga tego międzynarodowego spotkania malarzy w Szczecinie urosła ostatecznie tak, że dzisiaj możemy mówić o jego dużej roli poznawczej i integracyjnej w sferze współpracy kulturalnej krajów socjalistycznych. Oryginalny charakter przedsięwzięcia w sposób lapidarny określił prezes Zarządu Głównego ZPAP, Janusz Kaczmarski, który w słowie wstępnym do katalogu tegorocznych „Prezentacji" napisał m.in.:

Prezentacje Malarzy Krajów Socjalistycznych mają kameralny charakter spotkań malarzy i konfrontacji dzieł przez nich stworzonych, a towarzyszy im teoretyczna refleksja krytyków sztuki. Wspólna praca i dyskusje, plener trwający równolegle do wystawy podkreślają koleżeński, roboczy charakter imprezy. Nie ma tu nagród i związanych z nimi napięć — poczucia sukcesu czy porażki.

Są to duże walory Prezentacji, zgodnie z narastającymi w świecie tendencjami do oddzielania pokazów sztuki od pozaartystycznych emocji... Stąd nadzieja, że z biegiem lat szczecińska wystawa dawać nam będzie odpowiedź na pytanie: co nowego w malarstwie krajów socjalistycznych?

Jakie były rozmiary VIII Prezentacji? Uczestniczyło w nich 10 krajów, reprezentowanych przez 20 autorów z 211 obrazami. Jest to dotychczas rekordowa liczba. Prezentowane były kraje: Bułgaria, Czechosłowacja, Koreańska Republika

pełnometrażowych filmów fabularnych w ciągu roku; warto wiedzieć, że występujący tutaj mali aktorzy pracują według specjalnego, biorącego pod uwagę ich wiek i możliwości fizyczne, „układu zbiorowego": dzień pracy — zależnie od wieku dziecka — trwa od 45 minut do 4 godzin. W przerwach zdjęciowych dziećmi zajmują się pedagodzy, aby praca w studio nie odbijała się na zajęciach szkolnych.

„Centrnauczfilm" — Centralne Studio Filmu Naukowego pradukuje rocznie 60 filmów pełnometrażowych, szereg krótkich filmów dydaktycznych, instruktażowych, specjalistycznych z różnych dziedzin rolnictwa i przemysłu. Powstało w 1933 r. Właśnie w tym studio wyprodukowano pierwszy radziecki film panoramiczny „Wielkie horyzonty mojego kraju" nagrodzony Grand-prix na „Expo-58" w Brukseli. Wyposażone w najbardziej nowoczesny sprzęt filmowy do zdjęć naukowych (teleskopowych, mikroskopowych, z użyciem promieni Roentgena oraz promieni podczerwonych) posiada również „Centrnauczfilm" swój własny... ogród zoologiczny.

Wreszcie istniejące od 1931 r. Centralne Studio Filmów Dokumentalnych, w którym pracowali dokumentaliści tej miary, co Wiertow, Trojanowski, Kaufman czy Karmen, i którego przedstawiciele towarzyszyli wszystkim większym wydarzeniom w życiu Związku Radzieckiego. Produkuje ono rocznie 100 numerów kroniki filmowej i prawie 150 filmów dokumentalnych. Tutaj też powstał ostatnio dokumentalny fresk z czasów II wojny światowej „Nieznana wojna" (nieznana dla wielu widzów z krajów zachodnich — przyp. MD) dotyczący walk wojsk radzieckich z wojskami hitlerowskimi. Powstał ten film we współpracy z filmowcami amerykańskimi; całością kierował znany dokumentalista radziecki, uczestnik II wojny światowej, Roman Karmen, który w tamtych latach niejeden metr wojennej kinokroniki nakręcił również na polskiej ziemi.

Moża by wyjść jeszcze na zewnątrz pawilonu wystawowego, na rozległe tereny przyległego „miasteczka filmowego", gdzie sąsiadują ze sobą niewielkie pawilony wyświetlające filmy archiwalne — różne „Iluzjony" i „Beaumondy" zbudowane na obraz i podobieństwo przedrewolucyjnych rosyjskich przybytków X Muzy — ze smokami trójgłowymi, bojowymi taczankami Czapajewa, rewolucyjnymi samochodami pancernymi: „broniewikami" i latającymi talerzami ze współczesnych filmów z gatunku science-fiction.

Ja jednak zatrzymam się na zakończenie obok stoiska Centralnego Studia Filmów Dokumentalnych, przy tej oszklonej gablotce, w której wśród wielu podobnych leży list nie znanej mi kobiety z jednej z podmoskiewskich miejscowości... Ta kobieta pisze do dyrekcji studia, że niedawno oglądała wraz z rodziną w telewizji dokumentalny film „Obrona Sewastopola". W pewnej chwili zobaczyli na ekranie twarz swojego syna i brata, który zaginął w 1943 roku i o którym nie było odtąd wiadomości. Zobaczyli... „jak trzyma lornetkę, patrzy przez nią gdzieś przed siebie, a potem wydaje swojej baterii komendę: ognia! Jego ojciec też był w wojsku, doszedł do Konigsbergu. Dziś już ojciec nie żyje. A matka nasza, już 75-letnia, wciąż jeszcze na syna czeka, myśli o synu. Czy można by prosić o wykopiowanie z filmu tego ujęcia mojego brata, przesłanie matce jako pamiątki po nim z wojny?".

Wśród wielu innych i taka właśnie bywa rola i funkcja kina. I tej wystawy.

...które będą czytały ten dokument

Aleksander Jański

ZASOBY Wojewódzkiego Archiwum Państwowego Lubelskiego przy Trybunalskiej, a także jego oddziałów w Krasnymstawie i Radzyniu Podlaskim oraz w kraśnickiej ekspozyturze są wielkie. Lublin posiada dość długą historię, gdy chodzi o gromadzenie archiwaliów. Archiwum Akt Dawnych powstało sto pięćdziesiąt trzy lata temu, a więc już w okresie Królestwa Polskiego pomyślano o potrzebie zachowania dokumentacji z różnych dziedzin. Władze carskie w 1887 roku placówkę tę zlikwidowały i wiele akt wywiozły, dopiero po Rewolucji Październikowej, rok po jej zwycięstwie, zwrócono je Polsce. Przed sześćdziesięciu jeden laty, za sprawą profesora Stanisława Ptaszyckiego, którego imię nadano właśnie pracowni naukowej WAPL, archiwum się odrodziło i odzyskało prawie wszystkie swoje zbiory.

Mówi się wzniośle, że tego typu placówki gromadzą zabytki mówiące słowami, że są narodową składnicą. To prawda, potwierdzają to informacje dyrektora tej placówki, Franciszka Cieślaka. WAPL i jego agendy posiadają 892 pozycje inwentarzowe zawierające 1417 zespołów akt. Jeśli zważymy, że największy spośród nich — zamojski, zajmuje 500 metrów bieżących, a wszystkie razem liczą ponad dziewięć kilometrów, że co roku przybywa ich 400 metrów, to możemy sobie wyobrazić, jaka jest tego spadku po przodkach bogatość. Metr bieżący dokumentów zajmuje w rzędzie wysokość mniej więcej półmetrową, a więc mowa tu rzeczywiście o zasobach dużych, najważniejsze, że także wartościowych pod względem merytorycznym.

Jednym z najstarszych dokumentów jest akt lokacyjny Lublina oparty na prawie magdeburskim; pochodzi z roku 1317, nadał go Władysław Łokietek. Ten przedostatni król z Piastów zdawał się już rozumieć ważność i wielowiekową żywotność dokumentów, skoro pomieścił na tym pergaminie myśl: ...notum facimus uniwersis, presentibus et futuris, presentem paginam inspecturis..., czyli: ...podajemy do wiadomości wszystkim obecnym i przyszłym (pokoleniom), które będą oglądały ten dokument... Kto ciekaw, może w Bramie Krakowskiej, w oddziale Muzeum Okręgowego, odczytać ten ciekawy akt z wiernej fotokopii. Właśnie, fotokopia i mikrofilm, a więc technika i chemia stały się w ostatnich czasach sprzymierzeńcami archiwistów. Pozwalają oszczędzać najbardziej wartościowe i stare dokumenty, przedłużyć ich żywot wielokrotnie, a ułatwić pracę badaczom. Konserwatorzy starych druków i rękopisów mogą więc być pewni, że ich zabiegi ratujące kruche zabytki piśmiennicze nie okażą się próżne.

Od czasu wymienionej tu daty lokacyjnej, jeżeli zostać przy samym tylko Lublinie po rok 1950 — ileż to dokumentów bezcennej wagi się zachowało? Dwadzieścia trzy pergaminy i stare papiery, trzysta siedemdziesiąt dziewięć ksiąg wójtowskich i rady miejskiej, wreszcie ponad trzydzieści tysięcy spraw sporządzonych przez miejską kancelarię w minionym i obecnym wieku. Wiele tam akt obrazujących życie cechów, warsztatów, miast królewskich i prywatnych z czasów od XV do XVIII wieku, także sądowych z tego samego i bliższych nam okresów. Są dokumenty o przejeździe poselstw do i od króla polskiego z różnych krajów, dotyczące handlu Lublina z innymi miastami i państwami, o obowiązku wystawiania przez wędrownych kupców swoich towarów w tym mieście. Osobna grupa zapisów związana jest z powstaniami: kościuszkowskim, listopadowym i styczniowym, z „Zemstą Ludu" oraz partyzantką pułkownika Józefa Zaliwskiego, działalnością księdza Piotra Ściegiennego. Są akta żandarmerii carskiej z ubiegłego i początku obecnego wieku, a szczególnie z czasu rewolucji 1905—1907 roku, w których odczytać można rozwój polskiego ruchu robotniczego i ludowego. Z dawnych zespołów wiele dotyczy spraw polsko-litewskich. Wielki jest inwentarz materiałów zarządu dóbr Ordynacji Zamojskiej ze Zwierzyńca (1581—1944) z licznymi planami geodezyjnymi, mapami wsi i folwarków, czy też akt unikalnego Towarzystwa Rolniczego Hrubieszowskiego fundacji Stanisława Staszica, archiwaliów podworskich zdobytych począwszy od reformy rolnej w 1944 r.

Pytam gospodarzy placówki o współczesną użyteczność tych zasobów mówiących słowami. Dr Anna Wielgus podaje mi liczby z mijającego dziesięciolecia: 2019 osób odwiedziło 26 823 razy WAPL, aby pracować nad ponad stu trzema tysiącami zespołów akt. Widać z tego łatwo, że niektórzy podejmowali dłuższe prace badawcze, a ten sam zespół udostępniano im wielokrotnie, bądź też sięgało po niego więcej osób w tym czasie. Profesorowie, docenci, doktoranci i kończący studia, publicyści i nauczyciele historii, uczeni z pozalubelskich ośrodków akademickich, wreszcie praktycy, np. geodeci, hydrolodzy, agronomowie nawet medycy. Jedni dopełniają swój materiał potrzebny im do książek naukowych, do artykułów, inni są praktykami. Ci ostatni pragną np. obniżyć koszty działalności gospodarczej. Przyszłe decyzje podpowiadają im stare mapy, plany geodezyjne, zapisy z ekonomiki dawnych lat. Np. projektantom były potrzebne nawet stare plany, aby rozwiązywać niektóre problemy związane z wielkim programem „Wisła". Melioranci, budowniczowe spożytkowują wiedzę o terenie, na którym przypada im przeprowadzać inwestycje. Zapoznawał się, za rekomendacją Głównej Komisji Badań Zbrodni Hitlerowskich, z problemami Majdanka sędzia zachodnioniemiecki Wolfgang Schäfler. Wielu naszych badaczy interesuje się nieodległą historią, tą wiążącą się z okresem międzywojennym, okupacją, ale i bardzo licznie z ostatnim trzydziestopięcioleciem.

Akta rady miejskiej Lublina, strona tytułowa wpisów z 1617

Kto więc zbudował w sobie pogląd, że placówka archiwalna jest martwa i jej działalność nie koresponduje ze współczesnością, łatwo się może przekonać, jak bardzo się mylił. Zdarzały się już na Lubelszczyźnie przedsięwzięcia gospodarcze, które dzięki współpracy z WAPL uzyskały milionowe oszczędności, ponieważ w porę można było korygować zamiary, sięgając do starych dokumentów, planów i map, wyciągać wnioski współczesne. Szanować należy pracowników naukowo-badawczych i ich pomocników, którzy w nielicznej przecież grupie dokonali tak wiele. Żmudna to praca. Bo cóżby naukowiec dokonał, gdyby akta nie zostały odpowiednio opisane? A kiedy potrzebne są mu zespoły posiadające opracowane sumariusze, o, wtedy orientacja w tym, co może w nich znaleźć, jaki obrać kierunek poszukiwań, jest znacznie ułatwiona. Nie musi brnąć przez tę papierową dżunglę na ślepo. Otrzymuje bowiem wyraźne drogowskazy. Wiele lat musi jeszcze minąć, zanim wszystkie pozycje inwentarzowe i zespoły zostaną tak dokładnie opracowane. Tyle kilometrów, a zasoby wciąż się powiększają. Nadto większość instytucji i przedsiębiorstw oddaje, co oddać w myśl ustawy musi, w stanie najczęściej niechlujnym. Nawet urzędy nie doceniają tej sprawy, nie przychodzi im na myśl to, co król Łokietek wiedział już 652 lata wcześniej: ...et futuris, presentem paginam inspecturis! Pamiętać o tym warto już w chwili sporządzania dokumentów.

Ludowo-Demokratyczna, Kuba, NRD, Polska, Rumunia, Węgry, Wietnam i Związek Radziecki. Po raz pierwszy pokazano malarstwo z odległej Korei, Wietnamu i Kuby.

Wystawie towarzyszyły liczne interesujące akcje. W Kamieniu Pomorskim urządzono międzynarodowy plener sześciu zagranicznych malarzy, zakończony wyjątkowo interesującą ekspozycją. Równocześnie z inauguracją VIII Prezentacji otwarto w salach Muzeum Narodowego w Szczecinie wystawę pt. „Współczesna Sztuka Krajów Socjalistycznych", składającą się z 90 prac ze zbiorów tegoż muzeum. Instytucja ta systematycznie wzbogaca swoją kolekcję przez zakupy ze wszystkich „Prezentacji", myśląc o otwarciu w przyszłości stałej galerii współczesnego malarstwa krajów socjalistycznych w Szczecinie.

Także w Kamieniu Pomorskim zorganizowano międzynarodowe sympozjum krytyków sztuki, w którym wzięło udział sześciu krytyków z zagranicy i kilku z Polski. Była to sesja niezwykle ciekawa. Jej przebieg upoważnia do stwierdzenia, że przyczyni się ona do wykrystalizowania kryteriów artystycznych przyszłych „Prezentacji". Już bowiem w tym roku krytycy w poszczególnych krajach pod auspicjami związków plastyków typowali, po raz pierwszy, twórców na szczecińską imprezę, mając na względzie ich autentyczne znaczenie w środowisku krajowym. Organizatorem sympozjum było nasze czasopismo „Sztuka".

Nie będąc biegłym w krytyce sztuki, odwołam się do fragmentu recencji Jerzego Jurczyka, pomieszczonej w „Głosie Szczecińskim", który odpowiada na pytanie: jakie nowe obszary zainteresowań artystów zostały przedstawione na tegorocznej „Prezentacji":

VIII Prezentacja Krajów Socjalistycznych w porównaniu z dotychczasowymi wystawami... jest chyba najbardziej egzotyczna. W jakim sensie? Otóż jest bardzo wyraźnie widoczna różnica między każdym zestawem narodowym... Rzecz jasna, najbardziej „egzotyczni" są dla nas Koreańczycy i Wietnamczycy, po raz pierwszy uczestniczący w szczecińskim spotkaniu. Jednakże egzotykę możemy odnaleźć także w malarstwie Jurija Pawłowa z Moskwy, Vlastimila z Pragi, Karla Raetscha i Christiana Heinze. W ich malarstwie odnajdujemy, jako źródło inspiracji, penetrację codziennej rzeczywistości. Do tego nurtu wypada też zaliczyć Zbigniewa Karpińskiego z Wrocławia. Nurt realistyczny na VIII PMKS odznacza się jednak wieloma barwami i odcieniami...

Osobiście miałem okazję przekonać się, że tegoroczna prezentacja, podobnie zresztą jak poprzednie, cieszyła się wyjątkowo dużym powodzeniem publiczności. Codziennie przez sale wystawiennicze Zamku Książąt Pomorskich przewijało się 1500—1800 osób w wycieczkach zbiorowych, jak też indywidualnie. Z czego to wynika? Przede wszystkim chyba z faktu, że w Szczecinie, tym wielkim portowym mieście, krzyżują się szlaki turystyczne wędrówek na trasie: Wschód — Zachód i Północ — Południe. W mieście przebywają tysiące turystów z kraju i zagranicy. Dzięki temu szczecińska impreza malarska spełnia ogromną rolę propagandową, upowszechniając zdobycze współczesnej sztuki, jej nurtów najciekawszych, zrodzonych w krajach socjalistycznych.

Kamena str. 9

WŚRÓD RODAKÓW W RFN

Polski charakter

Ireneusz J. Kamiński

ŁADNE tu okolice: zalesione pagórki przeplatają się z płaskimi polami, czasem strumień przebiegnie błękitem przez zieloną łąkę, na której owieczki łagodne lub krowy dorodne pasą się dla dobra obywateli Republiki Federalnej Niemiec, szczególnie zaś ku pomyślności mieszkańców powiatowego Warburga i pomniejszych miejscowości, np. wsi Doessel.

Dziś w tej wsi jest normalnie, czyli spokojnie i czysto. Tam, gdzie podczas wojny znajdowały się baraki oflagu VI b, nic już nie przypomina jenieckiego pobytu ponad 2500 oficerów polskich, wśród których znajdowało się około 15 generałów, m. in. Berbecki, Czuma, Maresz, Mond, Thommee. Co prawda Feliks Fikus jeszcze w 1976 roku odszukał tu resztki murowanego budynku obozowego, ale trzy lata później niczego takiego nie dostrzegam — może zresztą dlatego, że nie dysponuję orientacją terenową i wrażliwością byłego jeńca. Na miejscu oflagu rozciągają się pola i ciemnieje stodoła.

142 polskich oficerów i żołnierzy zostało jednak w Doessel. Ich kwatery na wiejskim cmentarzu pokrywa gruba warstwa roślin ozdobnych, rosnących w cementowych ramach grobów indywidualnych i zbiorowych, nad którymi jaśnieją tablice z nazwiskami majorów, kapitanów, sierżantów i szeregowych. Rodzili się w różnych dniach i latach, ale w większości zginęli 26 września 1944 roku: od bomb samolotów brytyjskich, które miast pobliską stację kolejową, zaatakowały oflag, równając z ziemią sześć baraków.

Urządzeniem cmentarza po oswobodzeniu zajął się płk M. Mozdyniewicz. To było dawno. Ale i dziś widać, że koło grobów polskich ktoś chodzi, ktoś o nie dba, porządkuje, składa kwiaty. Kto?

„Ksiądz Stephan Ernst", informuje Czesław Szablewski, prezes gromady Związku Polaków „Zgoda" w Kassel-Süd, inicjator i działacz organizacji polonijnej na tym terenie. A niemłody już proboszcz parafii w Doessel w rozmowach z rodzinami poległych i zmarłych w oflagu nieodmiennie wskazuje, że to właśnie Szablewski i jego gromada od dawna troszczą się o cmentarz, mimo że do Kassel jest stąd ponad pół setki kilometrów.

Szablewski ma dziś 52 lata, przyzwoicie urządzone mieszkanie w Kassel, pracę w magazynie części zamiennych zakładów Volkswagena, samochód derby z tejże firmy (10 proc. bonifikaty przy kupnie), skłonność do układania wierszy i zaskakującą orientację w zasobach muzealnych miasta, w którym, jak wiadomo, odbywają się co cztery lata słynne w świecie „Documenta", czyli prezentacje aktualnych tendencji w sztuce różnych krajów. Jest człowiekiem opanowanym, ale i energicznym, obdarzonym żyłką organizatorską oraz wiecznie żywym sentymentem do żony, którą pojął w 1948 roku, aby doczekać się syna Feliksa i córki Moniki, dziś już ludzi dorosłych, żyjących we własnych rodzinach.

Szablewski nie ma: palca u dłoni, który przez pięć minut ucinała mu maszyna podczas nocnej, samotnej zmiany na wydziale montażu zespołu podwozia. Nie ma też żadnego zrozumienia dla ludzi, którzy w różny sposób rzuceni na obczyznę, dla świętego spokoju i stałej pracy woleli zapomnieć o polskości i na dźwięk mowy polskiej pochylali głowy w geście absolutnego jej nierozumienia. Będąc lojalnym obywatelem Republiki, której rodowitą córkę wziął niegdyś za żonę, nie widzi powodu, aby na ścianach własnego mieszkania nie umieścić orła białego i fotografii ppłk. Mirosława Hermaszewskiego (który więcej zrobił dla dobrego samopoczucia Polonii w świecie, niż to się nam w kraju wydaje).

Biografia Szablewskiego to właściwie ciągła niezgoda na miejsce, w którym usiłował go zakotwiczyć los, powiedzmy nawet — historia. Urodzony w 1927 roku w Dołhinowie na Wileńszczyźnie, już w wieku siedmiu lat stracił ojca, byłego legionistę, potem policjanta, na koniec leśniczego i naczelnika straży pożarnej. Szablewski zapamiętał także, że ojciec lubił jeździć konno na swoim kasztanie.

Trzy lata po śmierci męża zmarła żona legionisty, prowadząca spory zakład krawiecki; było to w Piotrkowie Trybunalskim, dokąd rodzina przeniosła się w 1931 roku. Krewni Ignacego i Rozalii zabrali więc czworo ich dzieci ponownie na Wileńszczyznę. Zaraz po przyjeździe do Dołhinowa Czesław Szablewski założył drużynę harcerską, która ze swoim programem artystycznym występowała podczas uroczystości szkolnych.

Wybuchła druga wojna światowa. Do napaści Niemców na Związek Radziecki Szablewski uczęszczał do szkoły z językiem białoruskim i rosyjskim, a po wkroczeniu hitlerowców na te tereny skończył, z konieczności, z nauką. Pojmany podczas jednej z łapanek ulicznych w marcu 1944 roku, a więc niedługo przed wyzwoleniem, wywieziony został, siedemnastoletni chłopak, na roboty do Niemiec, gdzie przerzucany z miejsca na miejsce pracował m. in. przy naprawach torów kolejowych.

Czesław Szablewski

Oswobodzony przez Amerykanów, kilka miesięcy 1945 roku przebywał w przejściowym obozie w bawarskiej miejscowości Muldorf, razem z Rosjanami, Ukraińcami, Litwinami, Łotyszami i Polakami. Zorganizował tam drużynę piłki nożnej, która odnosiła „pewne sukcesy". Jesienią, po likwidacji obozu, wstąpił do kompanii wartowniczych przy armii amerykańskiej. Pilnował m. in. garaży samochodowych i patrolował pola byłego obozu koncentracyjnego w Dachau, gdzie alianci osadzili 30 tys. esesmanów, w tym kilka tysięcy kobiet. Do patroli US Army dołączono Polaków, ponieważ sami Amerykanie okazali się bardzo wrażliwi na wdzięki dam z SS. Szablewski wspomina przy okazji, że najlepsze kontakty łączyły wtedy dipisów z Murzynami, którzy i tutaj traktowani byli jak ludzie niższej kategorii: mieszkali w osobnych koszarach, mieli niższy żołd i gorszą stołówkę niż ich biali koledzy po mundurze. „Wy jesteście niewolnikami i my jesteśmy niewolnikami", mawiali czarnoskórzy żołnierze i dzielili się z Polakami ostatnim papierosem. I często bili się ze swoimi białymi pobratymcami z USA: przy pomocy pięści, noży i pistoletów maszynowych. W jednej z takich potyczek, trwającej dwie godziny, mimo interwencji żandarmerii, padło siedmiu żołnierzy.

W 1948 roku Szablewski musiał zmienić dotychczasowe miejsce postoju i zameldować się w Kassel — ponieważ głośno wyrażał swoje ironiczne opinie na temat propagandy uprawianej w kompaniach przez prolondyńskich oficerów. Ostatecznie trafił szczęśliwie, bo tam właśnie poznał swoją przyszłą żonę, Dorotę Malkomes, pochodzącą z rodziny dotkniętej represjami hitlerowców: ojciec przyszłej pani Szablewskiej nie chciał wstąpić do NSDAP, więc mu z miejsca zabrano jego firmę malarską. Młodzi poznali się w maju, ślub odbył się w październiku, na bodaj pięciu randkach i w sytuacji, kiedy Szablewskiego zdążono już przenieść do Frankfurtu nad Menem. Formalności cywilne sfinalizowano na ratuszu w Kassel, wesele — w niemieckiej restauracji. Rodzinę panny młodej reprezentowała jej matka, dwie siostry i szwagier, Szablewskich — pan Czesław w pojedynkę z konieczności. Alkohol weselny wyprodukowano własnym przemysłem, z cukru kuponowego za papierosy i kawę na czarnym rynku. A dobra tego było chyba sporo, jeśli trzyosobowa orkiestra cygańska przerwała w pewnym momencie swoje produkcje, aby ostro przystąpić do wewnętrznych porachunków. Solista to nawet chciał, żeby mu Szablewski zapłacił za zniszczone skrzypce...

Pan Czesław wiedział, co mówi — uprzedzając narzeczoną przed trwałym związkiem z Polakiem-tułaczem. Niedługo po ślubie przeniesiono go nad granicę francuską, później do innych miejscowości, a tymczasem żona urodziła pierwsze dziecko. Należało rozejrzeć się za stałą pracą, więc Szablewski rzucił kompanie wartownicze w 1953 roku — aby odczuć na własnej skórze, co to znaczy być zwycięskim Polakiem wśród przegranych Niemców. Gdzie udało mu się zdobyć jakieś sezonowe zatrudnienie, najczęściej na budowach, tam musiał znosić upokorzenia, brutalne docinki i obelgi. Ale — stwierdza dziś lojalnie — i niektórzy Niemcy, koledzy w pracy, niejednokrotnie stawali w jego obronie, jeden z nich przywalił nawet w gębę majstrowi, który nalatywał za ostro na Szablewskiego. Wtedy właśnie były robotnik przymusowy zorientował się jednak, że jego twardy charakter, konsekwencja w postępowaniu i smykałka do każdej pracy zyskują mu pewien respekt, żeby nie powiedzieć — szacunek wśród Niemców.

Ostatecznie dostał się do wielkiej fabryki Henschla, gdzie skończył kurs dla tokarzy. Stamtąd, nie bez trudności, przeszedł do Volkswagena, gdzie pracuje prawie 20 lat. Nim jednak stał się cenionym fachowcem, niejedną potyczkę musiał odbyć, poczynając od przeprowadzenia dowodu prawdy, że Polacy wcale nie są „brudni", jak to zwykli utrzymywać Niemcy. Zaproponował im po prostu spuszczenie spodni i wizję higieniczną niektórych partii ciała. Sprawę wygrał.

Szablewski, jak wspomniano, nigdy nie zapominał o swojej polskości i przyszedł dzień, kiedy manifestacyjnie potwierdził przywiązanie do kraju. Zaczęło się od spotkania w jego prywatnym mieszkaniu 1 września 1963 roku, na które zaprosił Bolesława Bodysa, Romana Grabowskiego i Kazimierza Starczewskiego, wszystkich z żonami — Niemkami. Wtedy właśnie, wspominając wybuch wojny, zaproponował założenie klubu polskiego, utworzenie jakiegoś stałego miejsca spotkań Polonii w Kassel. Pomysł chwycił i kilkuosobowa grupa, w każdorazowo odmiennym składzie, zaczęła spotykać się w pierwsze soboty miesiąca w restauracji Zygmunta Borsuka, który niegdyś prowadził interes pod Warszawą. Kilka miesięcy później, na początku 1964 roku, gromada nr 71 Związku Polaków „Zgoda" w RFN stała się faktem. Jej prezesem do roku 1967 był Szablewski. W tym czasie został mianowany przez zarząd główny w Bochum prezesem okręgowym, aby w tzw. międzyczasie powołać kolejną gromadę: Kassel-Süd (w 1968 r.), której aktualnie przewodzi po przejęciu funkcji po zmarłym kilka lat temu Stanisławie Schindelu. Sekretarką tej gromady jest Jadwiga Kacala, skarbnikiem — Jan Kacala. W okręgu Kassel oprócz wspomnianych istnieje jeszcze jedna gromada: w Hann-Münden, prowadzona przez energicznego Edwarda Huflejta. Wszystkie te organizacje liczą w sumie ok. 150 osób.

Poparcie finansowe przedsięwzięć w rodzaju budowy „1000 szkół na 1000-lecie", Zamku Królewskiego, Centrum Zdrowia Dziecka, akademie z okazji uroczystości państwowych PRL, wyświetlanie filmów o kraju, podejmowanie gości z Polski — to wszystko wchodzi w zakres działalności Polonii w Kassel, w której wyróżnia się gromada Czesława Szablewskiego, opiekująca się ponadto cmentarzem naszych żołnierzy w Doessel. Właśnie Szablewski sporządził dokładną ewidencję mogił, dzięki której wielu bliskich krewnych poległych i zmarłych mogło odnaleźć i odwiedzić groby swych mężów i ojców, znajdujące się w małej wsi westfalskiej.

i oprzez niewolę i chleb tułaczy,
Tobie Ojczyzno oddani na zawsze,
Tobie składamy naszą miłość w ofierze,
bo dajesz nam życie, wiarę i nadzieję.

I w takiej formie Czesław Szablewski wyraża swoje uczucia do Polski. Zapewne, wiele różni te wiersze pracownika Volkswagena od twórczości Gałczyńskiego, którego „Pochodnia" powstała niedaleko Kassel w 1945 roku, a wydrukowana została w czasopiśmie „Polak" wydawanym we wsi Peckelsheim w pobliżu Doessel jako kontynuacja jednej z tajnych gazet oflagu VI b, redagowanej przez Feliksa Fikusa i Witolda Olszewskiego. Ale łączy je też dużo: wewnętrzna, osobista przyczyna, która kazała obu Polakom wziąć pióro do ręki.

Zespolenie

Bronisław Bielan

I ZNOWU siedzę na niewielkiej plaży tak jak wczoraj i przedwczoraj i staram się o niczym nie myśleć. Po to tu zresztą przyjechałem. Żona udała się z dziećmi do Tatr. Teraz na pewno idzie skacząc po górach i jest przekonana, że to najlepszy balsam na oskrzela. Zawsze spędzamy urlop oddzielnie. I to nas potem zbliża, jesteśmy sobie bardziej potrzebni. Nie myślimy wtedy o zakładzie, o przetargach z pracodawcą i wracamy do obowiązków, traktując wszystko z przymrużeniem oka. Co prawda po pewnym czasie znów popadamy w stereotyp, lecz nawet świadomość chwil zapomnienia napawa nową nadzieją. I tak jest co roku.

Smaruję ciało mleczkiem piz-buin, patrzę na molo, gdzie siedzą w bezruchu wędkarze, potem na wysepkę w środku Słonecznego Jeziora. Ile to może być metrów od brzegu, trzysta, czterysta? Dzisiaj spóbuję przepłynąć ten dystans. Najlepiej przed obiadem, kiedy kondycja najlepsza. Pokażę tym frajerom z ośrodka ČEDOK-u, że nawet czterdziestolatek potrafi. A jeśli się nie uda? Lepiej o tym nie myśleć...

Opaleni na brąz wczasowicze zajmują miejsca na plaży. Za chwilę pojawi się na molo gospodarz naszego kempingu, będzie pytał o samopoczucie. To z pewnością Węgier, bo mówi kiepsko po słowacku. Gdyby złowił dzisiaj szczupaka, można by zrobić interes. Smażyć się nad jeziorem i nie jeść ryby, jakie to śmieszne. Nikt nie uwierzy. Mogę powiedzieć, że codziennie zapychałem się daniami z karpia, morszczuka, a nawet wieloryba. Kto będzie to sprawdzał, kto kiedy słyszał o Słonecznym Jeziorze?

Patrzę w kierunku kempingu. Niedługo powinna nadejść cycasta szatynka z synem. Zanurzy nogę w toń jeziora, wzdrygnie się i powie:

— Sandor, nie powinieneś się kąpać. Woda jest bardzo zimna.

W tym samym momencie synek wyrwie się z jej objęć i pobiegnie na molo, by dać nura i popłynąć na mieliznę. Matka machnie ręką i zajmie miejsce niedaleko mojego koca. Następnie włoży okulary, przyklei liść na nos i z rozkoszą odda się promieniom słońca.

Palę z lubością papierosa, po śniadaniu najlepiej smakuje. Na horyzoncie snuje się lekka mgła. To wróży bardzo upalny dzień. Nad Morzem Czarnym nie będzie cieplej, tylko fale mogą być większe, co za różnica. Tu łódki i żaglówki, tam statki turystyczne. Tu pomidory i papryka, tam też. Tu Czesi, Słowacy, Niemcy, Rosjanie, Polacy, tam też.

Wstaję, trzeba rozprostować kości. Kupuję w pobliskim kiosku gazetę, w samie — brzoskwinie i sok pomarańczowy. Niemcy machają do mnie z tarasu kempingu. Ciekawy naród. Bardzo skrupulatny, lecz hałaśliwy, żyjący na wysokiej stopie. Codziennie jedzą szynkę i gulasz po węgiersku, wypijają kilka kaw, a wieczorem wódkę. W gruncie rzeczy to dobrzy ludzie. I niepodobni do tych z Zachodu. Przed miesiącem byłem przypadkowo świadkiem dialogu młodych turystów z RFN. Rozmawiali o trzeciej wojnie światowej, która ich zdaniem wszystko rozwiąże. Jeden z grupki zaoponował twierdząc, że może ona być tragiczna w skutkach dla nich. Wtedy chuderlawy brodacz powiedział:

— Być może, ale w każdym razie wiele spraw to rozwiąże. Zanim zdążyłem zareagować, młodzi Niemcy rozpierzchli się.

Okrywam koszulą zakupy. Rozglądam się, same obce twarze. Z sąsiedniego ośrodka płyną ckliwe melodie z taśmy magnetofonowej — „Jak się masz, kochanie". Dobrze się mam, tylko ten gorąc. Wchodzę w jezioro, zanurzam się po szyję. Płynę przed siebie. Perlista i czysta woda studzi ciało. Regularny rytm rąk i nóg posuwa fale. Może jednak dopłynąłbym do wyspy, trzeba by tylko odpowiednio rozłożyć siły i nie wplątać się w wodorosty. Chyba warto popróbować. Ale jeszcze nie teraz. W samo południe pod wieczór, kiedy wielka tarcza słońca schodzi pod osiki tego miasteczka na zadupiu. Dosadnie to określiłem, lecz bardzo trafnie. Jest tylko kilka sklepów w centrum, kemping, ośrodki wczasowe, setki namiotów i samochodów z różnymi rejestracjami. W sezonie ludzi jak mrówek, szukających zapomnienia tak jak ja, inną porą pustka i nuda, raz zgodne, raz kłótliwe życie Słowaków i Węgrów. A nad jeziorem kilku rybaków, ćmiących w milczeniu papierosy, czekających na uśmiech losu.

Zawracam na brzeg. Widzę z daleka połyskującą w słońcu łysinę gospodarza. Stoi na molo, ugniata w palcach żółte, lepkie ciasto i myśli zapewne, że ta przynęta zwabi wielkiego okonia. Co za ironia, jak w noweli Hemingwaya. Mały Sandor, uzbrojony w pas ratunkowy, robi dziwne ruchy rękami. A szatynka o prowokującym uśmiechu szuka mnie wzrokiem na plaży.

Wychodzę z wody, kładę się na gorącym piasku twarzą do ziemi. Nic a nic nie interesuje mnie ta pani, która opala się gdzieś w moim pobliżu. Jest Węgierką, wyszła za Słowaka, rzutkiego faceta z dużą forsą, który przekonał ją, że nie trzeba się upierać przy narodowości, bo to nie ma perspektyw. Dlatego Sandor pójdzie do słowackiej szkoły. Jej rozumowanie wytrąciło mnie z równowagi, lecz wiedziałem, że jej tego nie wyperswaduję.

Bronisław Bielan urodził się w 1936 r. w Śmiłowicach w rodzinie górnika. Po ukończeniu nauki w szkole ludowej i wydziałowej kształcił się w gimnazjum w Czeskim Cieszynie, a potem w Seminarium Nauczycielskim w Orłowej. Przez sześć lat pracował w nauczycielstwie, by następnie rozpocząć karierę dziennikarską: obecnie jest redaktorem naczelnym miesięcznika „Zwrot" wychodzącego w Czeskim Cieszynie.

Poza publicystyką Bronisław Bielan zajmuje się również literaturą: w Konkursie Polskiego Związku Kulturalno - Oświatowego w 1965 r. wyróżniono jego powieść „Powrót". „Głos Ludu" w Ostrawie drukował w odcinkach jego drugą powieść pt. „Zielona rzeka". Zamieszczone niżej opowiadanie pt. „Zespolenie" otrzymało ostatnio drugą nagrodę w Konkursie Grupy Literackiej 63 w Trzyńcu, ogłoszonym z okazji 60 rocznicy Polskiego Związku Kulturalno—Oświatowego.

Podczas naszej wczorajszej rozmowy zapytała, jak układają się te sprawy u nas, na Śląsku. Żeby być szczerym, musiałbym odpowiedzieć, że podobnie albo prawie identycznie. Z tą tylko różnicą, że Węgrów żyje w Czechosłowacji dziesięciokrotnie więcej. Dlatego odparłem zdawkowo, iż dla przykładu ja poślubiłem Polkę i dzieci chodzą do polskiej szkoły. Wtedy dziewczyna zauważyła, że to jeszcze niczego nie dowodzi. Skinąłem głową na znak aprobaty i na tym zakończyła się wczorajsza rozmowa. Nie chciałbym więcej wracać do tego tematu. Prawdę mówiąc wolałbym ją mieć w łóżku, niż prowadzić polityczne debaty, których wynik można z góry przewidzieć. Gdyby żona potrafiła czytać moje myśli, miałbym się z pyszna. Lecz ona wie dobrze, że nie dla mnie rola amanta i uwodziciela mężatek.

Kładę się teraz na plecy. Sięgam odruchowo po „Smenę". Czytam informacje sportowe. Na innej stronie gazety wertuję kronikę wypadków drogowych. Jest też notka o zatrzymaniu na granicy w Komarnie dwu polskich przemytników, a na pierwszej stronie alarmująca wiadomość o groźnej w skutkach powodzi w Czechach i na Morawach. Wcale nie dziwi mnie fakt, że srogi żywioł nie ominął naszego okręgu. To już po raz trzeci w czasie urlopu nawiedza nasze okolice powódź. Tym razem zostawiłem w piwnicy tylko parę starych gratów, więc nie będzie katastrofy. Woda nie sięgnie przecież poziomu drugiego piętra.

Otwieram puszkę z sokiem, piję łapczywie, dużymi łykami. Sok spływa po brodzie, szyi i łączy drobne ziarenka piasku. Z czym to się wszystko kojarzy? Z hutniczą harówką. Kamraci z dziennej zmiany mierzyć teraz będą temperatury ścian pieców baterii koksowniczej, potem regulować dopływ gazu w armaturach. A cały czas spływać będzie z nich pot. Kiedy po szychcie stukną się w dworcowej kuflami piwa, z pewnością pomyślą o mnie. Karol powie: Takiemu dobrze, ten ma teraz inne kłopoty — i zrobi oko do kumpli.

To wcale nie jest takie pewne. Wolałbym tam być z wami. Szukam oczami Węgierki, lecz bezskutecznie. Gdzie ona się podziała? Widocznie ją wczoraj zanudziłem. A jeśli przyjechał mąż? To niemożliwe, nie zostawiliby dziecka bez opieki. Nareszcie ją dostrzegam koło brzegu jeziora. Jestem w zasadzie nieśmiały, jednak decyduję się podejść do niej. Siadam ukradkiem na piasku za jej plecami w ciżbie plażowiczów.

— Pani się pogniewała?

Odwraca powoli głowę w moją stronę, patrzy sentymentalnie i po chwili zaprzecza ruchem głowy. Po czym dodaje, że nie mogła mnie znaleźć. Mówię, że musiałem się akurat kąpać. Szatynka robi mi miejsce na kocu, zaprasza ręką do siebie. Korzystam z propozycji. Uśmiecha się zalotnie, częstując mnie kiścią winogron. Zwierza się, że mąż przyjedzie dopiero za tydzień z delegacji służbowej i że bardzo dręczy ją samotność. Strofuję ją w myślach, bo zapomniała o obecności Sandora, ale wiem, że jej chodzi w tym wypadku o mężczyznę. Mówię oschle, że przyjechałem tu wypocząć i zapomnieć o troskach szarej codzienności.

— Jedno drugiemu nie może przeszkadzać — stwierdza i nagle stykają się nasze kolana. — Nie poszedłby pan ze mną wieczorem do kina? Tu niedaleko jest amfiteatr.

No proszę, o tym nawet nie wiedziałem. Trzeba skorzystać z oferty wspólnego spędzenia wieczoru, a może i nocy. Nie robiłem tego jeszcze z Węgierką.

— Leci teraz amerykański film „Chinatown" — mówi dziewczyna szukając wzrokiem Sandora.

Oglądałem ten seans niedawno w Polsce, podziwiając kreacje Jacka Nicholsona i kunszt reżyserski Romana Polańskiego. Wstrząsający film, nie na moje nerwy. A Polański wiadomo.

Sandor płynie do brzegu. Ona nie chce iść sama wieczorem do kina, bo nuż napadnie ją jaki bandzior, zawlecze w krzaki, tu wszystko może się zdarzyć.

— Bardzo mi przykro — mówię przesuwając się w bok — widziałem ten film przed miesiącem. Codziennie czytam do późnej nocy, niech pani wstąpi do mnie po spektaklu podyskutujemy o Dzielnicy Chińskiej.

Węgierka nie odpowiada, patrzy na syna, który idzie w naszą stronę.

— Nie ma pani ochoty popłynąć na wyspę? — zmieniam temat rozmowy.

Uśmiecha się półgębkiem.

— Ja pływam tylko po piesku, bo ja wiem... może dziesięć metrów. Ale jestem ciekawa, czy pan tam dopłynie.

Sandor siada na kocu, matka okrywa go ręcznikiem.

— Już dzisiaj nie będziesz się kąpać — mówi potem, żegnając mnie podniesioną dłonią.

Robię kilka kroków i jestem w jeziorze. Nie zwracam na nikogo uwagi, płynę przed siebie. Drobne fale pluskają w twarz. Ta wysepka jest zbyt daleko, chyba nie dam rady. Kto zna tajemnice tego wielkiego zbiornika wody, ile zginęło w nim ludzi? Co robi teraz żona z dziećmi? Może siedzi nad Skalnatym Plesem i myśli o mnie patrząc w nieruchomą taflę wody i na pokryte śniegiem zbocza Tatr.

Odwracam głowę, jestem już dość daleko od brzegu. Nie czuję zmęczenia, błogi nastrój rozlewa się po całym ciele. Raz — dwa, raz — dwa. Miarowy ruch rąk i nóg, jednostajny oddech. Żabka jest niezawodna, trzeba tylko umiejętnie rozłożyć siły i nie przyśpieszać tempa. Teraz już nie warto zawracać. Niedługo będzie pół dystansu. A może to tylko złudzenie, może wcale nie posuwam się naprzód? Wirów tu nie ma ani wodorostów, jest tylko słońce nad głową. Gdziekolwiek się znajdziesz praży niemiłosiernie i stąd ta nazwa Słoneczne Jezioro. Szatynka na pewno obserwuje mnie z brzegu i myśli, czy ten Polak dopłynie na wyspę. I przypomni sobie przysłowie „Polak — Węgier dwa bratanki". Jeśli dotrze do celu, to odwiedzę go po seansie. Może właśnie tak medytuje, a może ma to wszystko w nosie.

Zaczynam tracić siły, czuję to wyraźnie. Trzeba odpocząć, odwrócić się na wznak i poruszać lekko nogami. Tak mnie kiedyś uczono na kursie pływackim, ale to było bardzo dawno. Więc lepiej nie ryzykować, bo nuż zacznę tonąć. Kto mnie uratuje, kiedy wokół nie ma żywej duszy, ani żaglówki, ani łodzi ratunkowej. Kto zobaczy z plaży maleńki punkcik w środku jeziora znikający nagle pod wodą? Do brzegu ta sama odległość co na wyspę.

Zwalniam nieco tempa, mobilizuję siły, płynę dalej. Gdyby mnie teraz widziała żona, powiedziałaby: — Ty chyba oszalałeś Bolek — i pośpieszyłaby na ratunek. Ona zawsze ma rację, a ja przeceniam swoje możliwości. Tylko kto mi teraz pomoże? Ani Kasia, ani dzieci, ani koledzy z baterii. Dlaczego ja muszę ciągle tyrać siebie? Żeby być sprawniejszy fizycznie, żeby zapomnieć o przykrościach? Czy to udało się komukolwiek, a gdyby nawet, jakie to ma znaczenie. Co to jest samotność, zapomnienie, odpoczynek wśród obcych? Wszystko wielka bzdura i nonsens. Tylko dwie rzeczy się liczą — dobro rodziny i świadome działanie wśród ludzi. Praca na rzecz całej społeczności.

Na fali przede mną huśta się piłeczka pingpongowa. Odczytuję drobne literki — Made in China. Dziwny zbieg okoliczności. A może to zaproszenie tej Węgierki na wieczorny seans „Chinatown". Piłeczka po chwili znika, to znaczy, że jednak płynę do celu. Tak, wyspa jest coraz bliżej, już widzę kontury zarośli, blaszana kula na stożkowatej konstrukcji. Ale wiem także, że najgorsze są ostatnie metry. Muszę przełamać słabość i kryzys przed metą. Potem odsapnę, długo będę odpoczywać i zapomnę o świecie. I dopiero koło południa popłynę z powrotem na plażę. Mogę też skorzystać z usług żaglówki, jeśli zawadzi o te strony. Dotykam nogami wodnych roślin, to dobry znak. Przed oczami wyskakują srebrne rybki, jakby witały bohatera samotnego rejsu. Ale to jeszcze nie koniec, a sił wyraźnie ubywa. I ciągle te rybki, czy ja majaczę? Może gospodarz złowił karpia albo

Dokończenie na str. 14

Wacław i jego listy

Kazimierz Eugeniusz Steszuk

Wacław Mrozowski

GDYBYM...

Gdybym wiedział, że myśli
będę umieszczał w ramki,
a na Pegazie wyścig
podejmę idąc w szranki
olimpijskich swawoli,
nie dałbym się namówić
Kamenie i Kaliopie
opętaniec w niewoli,
jak zakochany chłopiec...

Bo gdy księżyc przepływał
dnem moich smutnych oczu,
błądziłem przez zawiłe
ścieżki wonnych przenośni.
Nad Chełmem wiatr kołysał
strofy drżące jak skrzypce.
Ich ton dziś jeszcze słyszę
w pogodne zmierzchy lipca.
1962

WACŁAW Mrozowski urodził się w 1912 roku w Chełmie. Był wychowankiem Seminarium Nauczycielskiego i na stałe związany w międzywojennym dwudziestoleciu z kręgiem Kazimierza Andrzeja Jaworskiego i jego „Kameną". Jeszcze jako uczeń Seminarium w 1932 r. debiutuje wierszem „Maruder życia" na łamach międzyszkolnego pisma „Spójnia", którego następnie był redaktorem. W dalekiej od Warszawy prowincji, w dwudziestokilkutysięcznym mieście, zetknął się z mistrzem słowa poetyckiego Józefem Czechowiczem. Od tej pory związał się z nim na stałe.

W 1934 r. Mrozowski przenosi się do Warszawy. Zamieszkuje na Powiślu we wspólnym pokoju na Dobrej 9 — jak wspomina w swojej książce pt. „Cyganeria" — wraz z Henrykiem Domińskim, Bronisławem Ludwikiem Michalskim i Stanisławem Piętakiem. Codziennym gościem we „wspólnym pokoju" na Dobrej był Józef Czechowicz, który mieszkał w pobliżu na Smulikowskiego 4, w gmachu ZLP. Tę zażyłość i wspólną niedolę młodzieży literackiej, która przywędrowała do stolicy z dalekich prowincji, rozwiązuje dopiero wybuch II wojny światowej.

W okresie szkolnym Wacław Mrozowski debiutuje tomikiem wierszy „Mosty nad życiem" (1933). Przed maturą wydaje zbiorek utworów lirycznych „Rzeczywistość" (1934). Przygotowuje i nakładem „Kuźni Młodych" której był współredaktorem, publikuje „Antologię poezji szkolnej" (1935). Dalsze pozycje to: wiersze „Dobranoc... dobranoc" (1936) i tuż przed samą wojną wydany „Arkusz poetycki" (1939).

Po wojnie Mrozowski opublikował „Liryki dolnośląskie" (1948), „Drugi brzeg" (1958), „Akwarium" (1960), „Wiersze wybrane (1961), tom wspomnień pt. „Cyganeria" (1963), „Antologię lubelskich poetów dwudziestolecia międzywojennego" (1965), „Z Johnem Barleykornem" (1966), i „Wspominki dolnośląskie" (1966).

Czasy okupacji hitlerowskiej Mrozowski przeżył niezwykle ciężko. Tułał się i przymierał głodem. W 1944 r. był więziony przez okupanta. Po wyzwoleniu występuje jako aktor Centralnego Domu Żołnierza w Łodzi. W 1945 r. organizuje Ludowy Instytut Literacko Narodowy w Solicach na Dolnym Śląsku. W Wałbrzychu kieruje redakcją „Pioniera". Redaguje tygodnik literacko-społeczny „Wałbrzych". Współpracuje z kieleckim „Słowem Ludu" i katowickim „Dziennikiem Zachodnim". W roku 1963 jest sekretarzem oddziału ZLP w Łodzi.

* * *

— Wacława — tak go po prostu nazywaliśmy — poznałem bliżej na spotkaniu dwóch pokoleń literatów wywodzących się z Chełma w 1961 roku w starym domu kultury pod Górką. Wcześniej znałem go zaledwie z opowieści starszych kolegów i jego wspaniałej twórczości. Był wówczas w świetnej formie.

Ilekroć przyjeżdżał do rodzinnego Chełma — gdzie mieszkała jego ukochana matka, brat i przyjaciele — zawsze zawiadamiał nas wcześniej. Czekaliśmy na jego przyjazd z niesamowitą radością. Kiedy zjawiał się na dworcu sam lub w towarzystwie żony Ireny, zawsze uściskaliśmy się i całowali. Wstępowaliśmy w pierwszej kolejności do jego matki, która od lat mieszkała w pochylonym ze starości drewniaku przy ulicy Lubelskiej, a dopiero później szliśmy spacerkiem na Stare Miasto. Wacław jak dziecko cieszył się pięknem zaułków i wspaniałym widokiem Górki. Interesowała go także budowa nowych osiedli mieszkaniowych i nowoczesnych zakładów pracy.

Kiedy przyjeżdżał z żoną — najdroższą, jak powiadał, przyjaciółką życia — przesiadywaliśmy wśród pogodnych nocy w podwórku matczynego domu i sącząc cierpki płyn koniaku, gawędziliśmy o poezji i snuli plany na przyszłość. Wacław recytował z pamięci najnowsze strofy swoich wierszy, opowiadał kawały. Piękne i niezapomniane były tamte wieczory.

W jakiś czas przed śmiercią pisał do mnie: *Mój Drogi, nie odpisywałem tak długo, gdyż ostatnio czuję się źle. I wreszcie zawieruszył mi się gdzieś Twój list i nie pamiętam dokładnie co jeszcze w nim pisałeś — stąd przepraszam, jeżeli na coś nie odpowiedziałem. Doprawdy czuję się ogromnie źle, ale nie tracę nadziei a prawie każdej chwili grozi mi wszystko co najgorsze. Chciałem jeszcze zrobić coś niecoś. Przede wszystkim skończyć książkę o Chełmie lat międzywojennych. Ciężko mi to idzie ale po woli ciągnę.*

Nie dane mu było książki tej dokończyć. Przedwcześnie zabrała go śmierć. Nie byliśmy tym zaskoczeni, gdyż wiedzieliśmy, że Wacław chorował na raka krtani. A wiedząc o tym tak pisał:

...Niewielu moich lat dożyło —
Konrad [1]) i Zygmunt [2]) to wybrani
i po zawałach też się piło
a ja złapałem... raka krtani...

Nie pomogło leczenie w szpitalach łódzkich i warszawskich, nie pomogły sanatoria. Nowotwór coraz bardziej zapuszczał swe korzenie w słabnące zdrowie poety.

* * *

Od bliższego poznania się z Wacławem Mrozowskim i nawiązania z nim współpracy, kursowała między nami interesująca korespondencja. Jego listy, które przechowuję do dzisiaj, są rzeczowe i interesujące. Przedstawiają klimat tamtych lat w światku literackim Chełma i związanych z nim problemów oraz ludzi pióra wywodzących się z naszego regionu. Niektóre z listów opatrzone są własnoręcznie wykonanymi rycinami i ozdobnikami. Kilka z nich publikuję poniżej.

8.VI.66

Drogi Panie Kazimierzu,

otrzymałem Pana list, za który bardzo dziękuję. Popowski [3]) pisał do mnie o pobycie w Chełmie, bez szczegółów wprawdzie ale z entuzjazmem. Jak tam było — nie wiem. Czesio [4]) nie odzywa się do mnie, mimo listu jaki do niego wysłałem z Łodzi a dotyczy jego wierszy.

W Lublinie zatrzymałem się krótko, z dr. Rosiakiem [5] byliśmy tylko na kawie (brr, nie pijam tego) i rozmowę zasadniczą o wydaniu parę pozycji Chełma odłożyliśmy do przyjazdu dr. Rosiaka do Łodzi. Ma to być między 8—15 bm. Będzie wracał w tym czasie z Targów Poznańskich. Nie omieszkam oczywiście jak najpoważniej poruszyć Pana sprawę.

Napiszę Panu o tym.

B. Rudnicka [6]) i Bielski prosili o wiersze. Nic nie mam i pewnie nic nie wyślę. Chyba że coś mi wyskoczy. Ale dobrze, że myślą o kolumnie chełmskiej. [...]

U mnie, jak zwykle. Barleykorn kusi... Lato jest dla mnie martwym sercem pisarskim. Prowadzę tylko dziennik, czatuję i szukam dobrego piwa z lodu. Jeśli w lipcu zaproszą mnie do Chełma — przyjadę, ale wątpie czy coś tam będzie.

Natomiast we wrześniu 18—20 Walny Zjazd ZLP w Lublinie, na którym będę i wtedy zdaje się Dni Chełma.

Ale to jeszcze kupa czasu. Skontaktujemy się znowu na pewno.

W Łodzi

Uścisk dłoni łączę
Wacław Mrozowski

A oto list następny.

12.VII.66
w Łodzi

Drogi Panie Kazimierzu,

dziękuję za list i pamięć oraz wieści z Chełma. U mnie też nic nowego. Siedzę w Łodzi, nigdzie nie wyjeżdżam po prostu dlatego że nie mam forsy. Trochę pracuję, ale latem to mi nie idzie. Na kieliszek chleba w tym czasie nie ma gdzie zarobić. Więc ciężko.

Na święto lipcowe nie wybieram się nigdzie. Nikt mnie nigdzie nie zaprosił. Może to i dobrze. Boję się jechać sam a żona choruje mi ostatnio na wątróbkę, więc „poleguje".

Nie wiem nawet, czy na „Dni Chełma" (jeśli będą w tym roku) będę mógł pojechać, choć na Zjeździe ZLP w Lublinie (17—18—19.IX) będę napewno. To jest niewdzięczne miasto. (Chełm p.a.) Przyznaję to ze smutkiem. Właściwie poza paroma ludźmi, Małką i grobem Ojca na chełmskim cmentarzu, czuję się tam obco. A przecież tam się urodziłem i spędziłem 20 lat ponurej acz czasem pięknej młodości. I wspominam je z łezką w oku. Ale nie „roztkliwiajmy."

Szkoda, że macie takich opieszałych panów od kultury w tym Chełmie. Ale lepiej już nie będzie.

Dr Rosiak niestety nie przyjechał do Łodzi, mimo zapowiedzi na czerwiec. Teraz wybiera się na urlop do Bułgarii, więc spotkamy się na pewno dopiero na Zjeździe w Lublinie, a więc we wrześniu. Wtedy o Pana tomiku pomówię konkretnie i, mam nadzieję, załatwię to od ręki, tak jak z tomikiem Czesława. Obiecuję to Panu. Niech Pan tylko przygotuje w 3 egz. maszynopisy wierszy, zrobimy przy okazji wybór, z Pana zgodą rozpiski, i zabiorę je ze sobą. Na resztę będzie Pan musiał czekać, niestety, tak jak Czesław. Ale grunt, że wyjdzie.

Moja antologia będzie dopiero na wrzesień — miała być na lipiec — ale może to i lepiej. Zjazd — Dni Chełma — na pewno lepiej. O drugim tomie może być mowa po ukazaniu się I. Większość rozdziałów mam (między innymi od chełmiaków).

Tyle o sprawach interesujących Pana.

Cieszę się, że wrócił Pan do zdrowia, choć przyjaźni z Barleykornem nie pochwalam. Szkoda na to zdrowia.

Ja mam smutne doświadczenia, których zresztą nie żałuję, ale radzę być ostrożnym. Zresztą jak się spotkamy, nie wyobrażam sobie gawędy bez niego. Ja zresztą nie tracę z nim kontaktu nigdy. Stąd krąży trochę legend po kraju, czasem przykrych, ale nic sobie z tego nie robię.

Proszę pozdrowić przyjaciół chełmskich: Czesia, Longina [7], Ryszarda [8] i Piwowarczyka [9]).

Uścisk dłoni łączę i do zobaczenia
Wacław Mrozowski

Kolejny list, który otrzymałem od Wacława, był krótszy od poprzednich i nie posiadał daty. Pisał w nim:

Mój Drogi!

Przede wszystkim dziękuję Ci za tomik wierszy, który już dawno przesłałeś mi, a ja nie odpisywałem, gdyż włóczyłem się po szpitalach. Teraz jestem w sanatorium po zawale serca. Gdzieś w połowie maja obiecują mi Nałęczów, ale to pisane jeszcze trzciną na piasku. Byłbym bliżej swoich i pewnie wpadłbym do Chełma... Antologii swojej nie wysyłam Ci — otrzymałem 10 egzemplarzy i kupić jej już nie ma gdzie.

Co dzieje się w Chełmie? Czesław, z którym stale byłem w kontakcie, nie odzywa się. Miałem niepokojące mnie wiadomości, że jest chory, ale co i jak — nie wiem. Proszę cię, napisz mi parę słów, jak sprawuje się Okoń w nowej roli? Czy robi coś dla was poetów pięknej chełmskiej Ziemi?

Co słychać z projektowaną „Wiosną Poetycką — Chełmską"? Czy masz może prywatny adres Longina? Podaj mi.

Podreperowałem się trochę, ale to jeszcze nie to. Wódy nie mogę ciągnąć — choć brak jej trochę. Czasem koniak do herbaty. Kawy nie wolno. Piwa też. Świętobliwy żywot. A pogoda aż prosi się o jakieś zastrzyki.

Piszę dla Wyd. Lub. „Z Barleykornem przez życie" — trudna książka, bo b. osobista i nie wesoła. Ale muszę ją napisać. Ponieważ termin mam do końca roku, wszystko odłożyłem na bok. Wspomnienia chełmskie z XX-lecia międzywojennego poczekają — nie mam zresztą na nie jeszcze umowy. Poza tym musiałbym posiedzieć w Chełmie parę tygodni, aby nasiąknąć atmosferą miasta, przypomnieć sobie pewne rzeczy, pogadać ze starymi ludźmi itd.

Piszesz coś? Kiedy wyjdzie jednodniówka coroczna? Kto to robi? Chciałem tam coś napisać, ale nikt nigdy nie zaprasza do współpracy.

Czekam więc na list informacyjny od Ciebie.

Uścisk dłoni łączy
Wacław Mrozowski
Borek Wielkopolski pow. Gostyń
Zimnawoda — Sanatorium
woj. poznańskie

A oto ostatni list, jaki otrzymałem od Wacława. Przebywał dalej w sanatorium na leczeniu.

Zimnawoda 6.V.67

Mój Drogi!

nie odpisywałem tak długo, gdyż miałem jechać do W-wy na kontrolę do Inst. Onkologii, podróż męcząca a ja jeszcze mimo wszystko nie jestem dotarty. W międzyczasie miałem list od Czesława. Chwała Bogu czuje się znośnie, a że kwęka — to w naszym wieku nieuniknione.

Do tej pory nie wiem, czy Nałęczów będę miał jeszcze w maju czy dopiero w czerwcu. A może w ogóle nic z tego nie wyjdzie? Wtedy całe lato posiedzę tutaj. We wrześniu być może będę w Chełmie, stęskniłem się trochę za swoim miastem, Wami — wartoby przy jakimś koniaku pogawędzić, choć ostatnio wolę słuchać jak inni mówią.

Szkoda że nigdy nie wiem, kiedy wychodzi ta jednodniówka — zawsze znalazłbym coś nowego, ale dowiaduję się zawsze wtedy, gdy termin złożenia materiału minął. Tak jest i tym razem. A szkoda.

Parę dni temu odesłałem korektę tomiku „Z Johnem Barleykornem" do Lublina. Zebrane w całości wszystkie wiersze alkoholiczne. Czekam na tom wspomnień z Dolnego Śląska. W lutym miałem korektę. Jak otrzymam, przy-

Ile Ci tym razem na pewno. Sądzę, że nie rozejdzie się od razu wszystko i zdążę kupić parę książek. Autorskich tylko 20 szt., to mało. Sam nie mam np. antologii i nigdzie jej już nie ma.

Wracając do kultury chełmskiej: to dobrze, że będzie razem z Dniami Chełma. Maj jest naładowany imprezami, ludzi się przemęcza, każdy czeka na urlop, a wrzesień jest znakomity. Chełmska Jesień Poetów — to nawet ładnie brzmi. Tych wiosen jest zdużo: Łódzka, Kłodzka, Poznańska itd. Rzygać się chce.

Dobrze, że będziesz miał wiersze w Almanachu — to jednak jakiś ogólnopolski akcent i gdzieś tam się liczy. Powinieneś to już zrobić dawno.

Zawieruszył się mi gdzieś Twój list i nie pamiętam dosłownie, co jeszcze w nim pisałeś, stąd może na coś nie odpowiedziałem. Włożyłem go gdzieś między papiery, których tu mam sporo i nie mogłem odnaleźć.

Co robisz z wakacjami? Wyjeżdżasz gdzieś z rodzinką na urlop? Trzeba się przewietrzyć, to dobrze robi. Zmienić klimat, alkohole... Jesteś młody i serce dużo jeszcze wytrzyma. Nie chorowałeś specjalnie — ja to co innego — ale też nie tracę nadziei, a prawie każdej chwili grozi mi wszystko co najgorsze.

A chciałbym jeszcze zrobić coś niecoś. Przede wszystkim skończyć książkę o Chełmie lat międzywojennych. Odłożyłem na razie, gdyż muszę dla Wyd. Lub. skończyć w tym roku „Z Barleykornem przez życie". Przywiązuję do niej dużą wagę. Spowiedź mojego życia. Ciężko mi to idzie, ale powoli ciągnę. Prawie 40 lat — to tyle ile London miał, gdy skończył z sobą pod alkoholem. Obiecano mi to wydać oczywiście z przedmową dr. Rosiaka. Sporo zdjęć: pewnie do 400 stron wyciągnę. Narażę się wielu ludziom, którzy udają świętych. Operuję nazwiskami, a to niebezpieczne, gdy wszyscy żyją. Ale muszę to zrobić. I robię. Nie piszę jednym ciągiem. Fragmentami. Tu kończę np. ostatni rozdział. Mam kilkadziesiąt stron pierwszych, trochę środka. Trzeba będzie spajać, kleić...

Zdaje się, że i ty piszesz coś z okupacji, te rzeczy zawsze są potrzebne i łatwo je wydać, zwłaszcza jeśli dotyczą Ziemi Chełmskiej, o której, o ile mi wiadomo, niewiele napisano z tego okresu. Sygnalizuj od razu red. Kośmińskiemu [10], napisz konspekt niech podpisuje umowę. To zdopinguje cię bardziej. Jeśli trzeba, to jedź do Lublina. Nie wolno mieć kompleksu prowincji, a Wy wszyscy go w Chełmie macie. Więcej odwagi, a jeśli trzeba i zapału. Tylko pewność siebie i talent dziś coś znaczą. Bierz przykład z młodzików. Tupet niczym nieuzasadniony, ale często odnosi skutek. Stąd tyle grafomanów pierwszej wody, ale tomiki ich wychodzą.

Rozpisałem się jak gaduła. Innym razem mniej.

Pozdrów Okonia, Królikowskiego, Piwowarczyka, w ogóle przyjaciół.

Uścisk dłoni łączy
Wacław Mrozowski

* * *

W dniu 28 września 1967 r. (zmarł 26.IX.67) pożegnaliśmy Wacława Mrozowskiego na zawsze. Przed kaplicą cmentarną na łódzkim Starym cmentarzu przy ulicy Ogrodowej oddali mu ostatnią przysługę najbliżsi koledzy i przyjaciele. Przyjechali na pogrzeb znajomi i towarzysze pracy twórczej z Warszawy, Lublina i Chełma. Nad mogiłą oprócz żony i najbliższych, stali pochyleni w żałobie: Witold Kasperski, Zdzisław Popowski, Kajetan Sosnowski i Igor Sikirycki z Warszawy, dr Roman Rosiak z Lublina, Czesław Twardzik i Kazimierz Eugeniusz Steszuk z Chełma oraz Ignacy Gąsiorowski i Jan Koprowski z Łodzi, pracownicy Wydawnictwa Łódzkiego i członkowie oddziału ZLP oraz miejscowe społeczeństwo. Wiązanki kwiatów pokryły świeżą mogiłę poety. „Synowi Ziemi Chełmskiej" — wypisane było złotymi literami na szarfie wieńca złożonego przez chełmską delegację.

Już nigdy poeta nie przyjedzie do rodzinnego Chełma. Do tych cichych uliczek, do matki, do przyjaciół. Przedwcześnie zabrała go śmierć. Odszedł od nas w pełni sił twórczych.

---

1) Konrad Bielski
2) Zygmunt Mikulski
3) Zdzisław Popowski
4) Czesław Twardzik (zmarły we wrześniu br.)
5) Dr Roman Rosiak
6) Maria Bechczyc-Rudnicka
7) Longin Jan Okoń
8) Ryszard Królikowski
9) Andrzej Piwowarczyk
10) Zbigniew Kośmiński

● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ●

„Człowiek jest celą śmierci..."

WBREW pozorom synowie sławnych ojców nie mają ułatwionej sytuacji w momencie samodzielnego startu literackiego. Krytyk podświadomie podwyższa wymagania i zaostrza kryteria oceny. Motywacje w tym względzie bywają zapewne irracjonalne, choć przecież ten subiektywizm krytyczny dałby się też zracjonalizować. Tym łatwiej, że w przypadku *Bez usprawiedliwienia* Tomasza Jastruna mamy do czynienia z liryką poety nie tak przecież młodego, bo blisko trzydziestoletniego, od którego wymagać już można. Debiut to raczej późny jak na ostatnie trendy edytorskie.

Jest to poezja może trochę za ostentacyjnie zwrócona w przeszłość. Powracają w niej refrenowo nostalgicznie wystylizowane pejzaże odchodzącego świata, kończącego się wraz z ginącym rekwizytem (*Powroty*). Nad tymi wierszami poeta nieco natrętnie rozpina motywy przemijania, śmierci — pojmowanej dosłownie i metaforycznie jako stan zawarty potencjalnie w ludzkiej egzystencji. Umieramy w każdej chwili, śmierć biologiczna (w sensie fizjologicznym i metafizycznym) jest sumą śmierci momentalnych (*Kobieta i kwiaty, Moja miłość*), czasami przemijanie przybiera postać obsesyjną (*Odtrącona, Po latach*), to znów Jastrun zdaje się prowadzić przewrotny flirt ze śmiercią nieco zalatujący średniowieczem (*Milczący*). To wiersz o umarłych poetach kończący się strofą: „Bez oczu głębsi o miliardy lat /I aż do kości autentyczni/ i pożytecznej współpracy z robakami /Milczycie w mogilnym zaduchu/ Swój najpotężniejszy wiersz".

To jeszcze poezja wsłuchana w cudze tony. Ale wrażeniem dominującym jest porywająca wszystko zamieć czasu. Tu widziałbym powinowactwa młodego Jastruna ze starym. Tamten był i jest poetą historii i kultury, ten jest już raczej poetą czasu destrukcji kultury i rozpadu tradycyjnego etosu śródziemnomorskiego i stąd czas jako wykładnik i zarazem miernik tego rozpadu i przemijania. Czasami jeszcze ten motyw przemijania jest zmetaforyzowany w sposób dość konwencjonalny, żeby nie powiedzieć banalny, ale wtedy Tomasz Jastrun próbuje ratować się nadając mu einsteinowskie rozpięcie, sugerując że historia cywilizacji ziemskiej jest tylko epizodem w przebiegu procesów kosmicznych Metagalaktyki. Wiersz *Stacja* zaczyna się oryginalnie: „Wyszliśmy z tarczy zegara /Który stanął na stacji/ wśród gwiezdnej podróży", ale rozwijając dalej metaforę stacji zamiast ją semantycznie poszerzać Jastrun trywializuje idąc na łatwiznę potocznego skojarzenia w inwokacji następującej tuż po cytowanym trzywierszu: „Tłumie istnień na peronie życia /Wielogłowy potworze o przykrym zapachu/ Perfum i potu..."

Sandauer obwieścił był świt matriarchatu poetyckiego. Nie wchodząc w detale jego rozpoznania krytycznego uważam jednak, że jest ono trudne do obrony w sensie pozytywnym. To raczej babokracja poetycka bardziej uzurpatorska niż wynikła z układu sił poetyckich. Śmiem twierdzić, że w roku 1978 raczej debiuty męskie zasługują na uwagę. Tomik Jastruna jest tu kontrdowodem tezy o matriarchacie. Oryginalność obrazowania („Siwe fale jego włosów dobijają do brzegów" — *Odejście*), plastyczność i malarskość wyobraźni, umiejętność budowania nastroju świadcząca o niezłym opanowaniu techniki nadrealistycznej („Przegięła szyję /Jej cień oparł się o moje ramię/ I nagle kwiaty w jej włosach /Zapachniały" — *Kwiaty*).

Czasem zdarzy się tu i ówdzie potknięcie, nie zamierzony efekt kitarynkowatości „Jest w jej twarzy coś /jeszcze nie wiem co/ Moje wargi schną..." — *Oczy*, jakieś retoryczne mielizny (bo na ogół retoryka jest zręczna — *Przy stoliku*), okazjonalne wierszyki niedużego lotu (*Skrzyżowania*).

„Każdy człowiek jest celą śmierci /Ci którzy o tym nie wiedzą/ Będą głośniej krzyczeć" — tę tercynę stanowiącą pointę *Celi śmierci* umieściłbym jako motto krytyczne tomiku debiutanta.

Uważam ten debiut za interesujący, ale że poeta zwykle określa się drugim tomem, to na razie wstrzymam się od prognoz.

Jan Marx

Tomasz Jastrun, *Bez usprawiedliwienia*. PIW 1978, s. 52.

Romantyk

JERZY Tomaszkiewicz wszedł do literatury z hałasem. W grudniowym zeszycie „Poezji" w 1971 roku ogłosił manifest *Romantyzm — szansa pokolenia*, gdzie starym obyczajem wszystkich manifestów wyklął poprzedników, oszczędzając tylko romantyków i proklamował neoromantyzm rozumiany jako „twórcza weryfikacja systemu społecznego". Aczkolwiek pisał go człowiek 27-letni, więc nie taki przecież młody, dopiero co po debiucie w almanachu studenckim „Nowe widzenia", to był to manifest nietolerancyjny i pełen wiary we własny geniusz i posłannictwo. Jak przystało na nosiciela tradycji romantycznej Tomaszkiewicz dał się również poznać jako animator ruchu poetyckiego — był mianowicie współzałożycielem grupy poetyckiej Stajnia, a później Konferencji Nowego Romantyzmu.

Przypomnę, choć szkicowo, o co chodziło w tej próbie wprzęgnięcia poezji w rydwan spraw publicznych. *Nowy Romantyzm* — czytamy w manifeście — *jest estetyczną ingerencją w świadomość narodu, przyspiesza zmiany w sferze świadomości, ułatwia przeworoty społeczne i obyczajowe. Poezja powinna być twórczą weryfikacją systemu społecznego, skostniałych tak instytucjonalnych jak i świadomościowych. Zaś w sferze formalnej warunkiem oddziaływania miała być „komunikatywność przekazu artystycznego i doniosłości podejmowanych spraw.*

Przyjrzyjmy się więc tej zapowiadanej „twórczej weryfikacji systemu społeczeństw". Weźmy następujący wiersz: „Znów dymi w ulicę /obłok jarzyn świeży/ z nad końskich zadów/ pstrokatych jak jesień/ /w ramionach bab wrzeszczą porżnięte złocienie /trzeszczy w więzach koper/ krwawi smukła marchew". Zanadto oryginalne to nie jest. Tym bardziej, że zza tych ekspresjonistycznych i futurystycznych wprawek wyglądają stare dobre wiersze, niekoniecznie romantyczne. Antropomorfizację kwiatów — zresztą bardzo ekspresywną stosował już Tuwim. Tomaszkiewicz Tuwima dość zręcznie parafrazuje, tylko że jest gadatliwszy. Tuwim powie: „salwy aromatów", a Tomaszkiewicz: „w krąg zapach taki mocny jakby z bzu strzelano".

W wierszu *odpowiedzialność* podjęcie problematyki moralno-historycznej przybiera kształt poetyckiej odmiany małego realizmu. Zacytuję ten wiersz, bo w nim właśnie zawiera się alchemia poetyki Tomaszkiewicza, który nawet wtedy, gdy poczuci krępujący wyobraźnię rym, rytm i rygor, miast zgęszczenia semantycznego osiąga efekty z pogranicza żargonowej kolokwialności. Exemplum: „skarceni przez historię /nieufnie wznoszą czoło/ na apele /o aktywność/ uśmiechają się kpiąco/ obracają w palcach spoconą monetę/ /mają czujne spojrzenie/ zranionego psa /rozdrażnieni —/ dławią flegmą nienawiści /plują żałośnie/ coś tu nie tak /są przebiegli ostrożni —/ ryba psuje się od głowy".

W wierszu *święte polskie* Tomaszkiewicz dokonuje zapewne nieco ironicznej beatyfikacji żon i matek: „żony /matki nasze bolesne/ święte ciasnych domów /szorstkich podłóg/ święte kolejek za mięsem /i chlebem/ święte rachunków wieczornych". Romantyk Mickiewicz pisał *Do matki Polki*, romantyk Tomaszkiewicz pisze *święte polskie*. Ten litanijny wiersz to tylko jakaś deklaratywnie religijna replika świeckiej liryki okazjonalnej.

Znajdziemy u Tomaszkiewicza wierszowane *Medaliony* (ekshumacja) a także wiersze agitacyjno-publicystyczne (strawa) — to zresztą też rys romantyczny. Przywaliliśmy wielkich poetów szkolnymi interpretacjami Chrzanowskich, Kleinerów, Sawrynowiczów oraz pani Janion i zapominamy po trosze, że byli to genialni agitatorzy. Ale wiersze Tomaszkiewicza to niestety tylko publicystyka wmówienia. W wierszu *ręce ojca* czytamy: „krocząc przez kraj kantu /tandety/ i chamstwa /obłędu bliski —/ rzetelny i prawy /przyniósł swoje ręce/ jak wieczny wyrzut". To bardzo ładnie, że poeta ma uczciwego tatusia, tyle, że uogólnienie jest obraźliwe, w podobny sposób obrażają nas czasem prymitywni publicyści, skłonni do łatwych i pośpiesznych generalizacji i ekstrapolacji pewnych zjawisk na całe populacje. Tomaszkiewicz chciałby być naprawiaczem Polski, a może i świata. Stąd ironia, szyderstwo, protest, frazes i obciga. Jest to dla artysty postawa ryzykowna, bo każe oglądać rzeczy powierzchownie i tylko z jednej strony. Zamiast romantycznego zacietrzewienia radziłbym trochę sceptycznego racjonalizmu. W tytułowym wierszu tomu poeta pisze z goryczą: „Jaki czas o nas się dopomni /nie wywołany z klisz historii?/ jak durna burza porwie z sobą? /młodość nas mija — gorzki obłok". Czyż po to Tomaszkiewicz budzi ze snu swych romantycznych antenatów i spędza z cokołów tych, co je mają, żeby głosić podobne rewelacje? Tomaszkiewicz więcej przed laty zapowiadał, niż spełnił w późnym debiucie książkowym.

Jan Marx

Jerzy Tomaszkiewicz: *Gorzki obłok*. PAX 1978, s. 48.

Filozoficzna czy filozofująca?

NIEZDOLNOŚĆ do uogólnień. Impresyjność. Gadulstwo. Pozorna głębia filozoficzna mechanicznych wyliczanek. Urbanizm sprowadzony do rejestracji rekwizytów i motywów miejskich. Zdyszany rytm tych wierszy stanie się bardziej zrozumiały, gdy powiem, że to wrażenia z podróży. Marjańska, zapewne w ferworze Reisefieber, traci kontrolę nad słowem i brnie w tautologie.

Terminatorka Walta Whitmana, ciągnie tasiemcowe wyliczanki, których magia przypomina magię cygańskich wróżb, jest magią wielosłowia. „Pomiędzy brzydotą a pięknem miasta rozwijają się według ludzkich potrzeb, wśród których jadło i ciepło zajęło poczesne miejsce przed rozrywką, uciechami ciała. Dusza zjawiła się później, wyprzedzając znacznie estetykę. Toteż tanie pseudogotyckie kościoły sąsiadują tu ze szklanymi gmachami banków, które stać na opłacenie tej ostatniej z potrzeb. Banki wciśnięte w ślepe zaułki na tyłach domów towarowych, zbudowane na gruzach dziewiętnastowiecznych hoteli strzelają w niebo architekturą Skidmore'a wulgarne, pyszne, wspaniałe przeciwieństwo sekwoi i sykomor". Celowo pominąłem w tym fragmencie cezury wersów!

Marjańska w *Skórce od banana* wykorzystuje pomysł Tuwima z *Kwiatów polskich*. Chodzi o znany ustęp — „My country is my home..." Tylko przy Marjańskiej Tuwim, którego przecież słowa też ponosiły, był mistrzem skrótu. Zagadać, nie dać czytelnikowi wytchnąć. Oto dewiza poetki. Terror słów niepotrzebnych. Orgie metafor, epitetów. Pogoń za słowem — wszystko nazwać, określić, wtłoczyć do wiersza. Słowo panuje nad poetką.

Urbanizm jest motywem wiodącym. To naturalna konsekwencja w diariuszu z podróży. W takich razach zwie.za się głównie miasta. Miasto Marjańską olśniewa i przeraża. Miejsce na refleksję filozoficzną znajduje się pomiędzy tymi biegunami emocjonalnymi. Marjańska wybiera konwencję horror i straszy nas wizją Miasta-Molocha, gigantycznego śmietnika cywilizacji. Ma to być śmietnik integralny.

Recenzentka „Nowych książek" w dytyrambie na cześć Drugiej podróży napisała, że *trudno doszukać się cech typowo kobiecych w tej poezji*. To chyba żarty. Toż typowo „kobiece" jest właśnie owo wprawianie się w nastrój na zawołanie, nieotamowanie żywiołu słownego, gadulstwo, nastrojowo-sentymentalne zwierzenia sugerujące hamletyczne rozdarcie duszy, oczywiście własnej /„Sytość południa. Niesytość miłości/. „Kocham = lecz kogo? Tęsknię — ale za kim? I co po sobie tutaj pozostawię, gdy przyjdzie pora?..."/, uświadomienie własnej fizjologiczności /„Kobieca, staję się narzędziem/ męskiego pożądania: /wzbieram nasieniem, uderzamy/, ranię. Uczyniono mnie okrutną. Trzciną kołysaną przez wiatr" — Marjańska parafrazuje tu Pascalowską metaforę „trzciny myślącej" na trzciną zmysłową. Właśnie w niezdolności do uporządkowania chaosu dostrzegam immanentną „kobiecość" tej poezji. Chce się ona zmierzyć ze światem z cywilizacją, z absolutem, z miłością i śmiercią, wyprawia się więc w podróż i niezdolna do zaklęcia chaosu, powiada: „Od noworodków uczę się nadziei". Takie są tu typowe ambicje filozoficzne. Ambicje, które nie wykraczają poza sztafaż filozofowania. Wielka mistyfikacja; świadcząca jednak o potencjalnych możliwościach poetki, które być może znajdują się w przededniu krystalizacji. Michał Sprusiński w feministycznym zapale już widzi jej wiersze w antologii poezji powojennej. Jeszcze poczekajmy, jeszcze się nie spieszmy.

Ludmiła Marjańska. *Druga podróż*. Warszawa 1977. PIW, s. 86.

Jan Marx

KRONIKA KULTURALNA

● Po niemal dwa tygodnie trwających przesłuchaniach zakończył się w Lublinie Międzynarodowy Konkurs Młodych Skrzypków. Poziom był wysoki, nagrody otrzymali: w grupie młodszej — Gabriel Croitoru (I) z Bukaresztu, Chen Leiand (II) z Londynu, Bogdan Babocea (III) z Bukaresztu, Elżbieta Giąb (IV) z Lublina, Robert Karaba (V) z Przemyśla; w grupie starszej, od 16 do 19 lat — Sergiej Teslja (I) z Nowosybirska, Lothar Strauss (II) z Berlina, Mircea Calin (III) z Bukaresztu oraz Elena Malcewa z Moskwy i Fyry Mikkola z Helsinek (IV ex aequo)

● Minęło 10 lat twórczej pracy Teatru „Studio Wizji i Ruchu", zainicjowanego i kierowanego bez przerwy przez Jerzego Leszczyńskiego. Zespół otrzymał właśnie nowy lokal na Starym Mieście i zmienił nazwę na Lubelski Teatr Wizji i Ruchu. Nasze gratulacje.

● Kolejny dowód uznania dla lubelskiego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej: 10 października w Gminnym Ośrodku Kultury w Piaskach odbyła się centralna inauguracja roku oświatowego, na którą przybyli: członek Biura Politycznego KC PZPR, minister oświaty i wychowania Józef Tejchma oraz minister szkolnictwa wyższego, nauki i techniki a zarazem prezes Zarządu Głównego TWP Janusz Górski.

● Odbywają się czternaste z kolei „Prezentacje", zorganizowane przez lubelską „Estradę". Tegoroczna impreza przedstawia się wyjątkowo okazale, w jej programie znalazły się np. Teatr Laboratorium z Wrocławia i Agencja Autorska „Kontakt" (recital Jonasza Kofty). Rozmach obecnych „Prezentacji" wynika po trosze z faktu, iż „Estrada" obchodzi właśnie 30-lecie istnienia. Przygotowany na tę okazję koncert galowy odbędzie się w Lublinie w drugiej połowie listopada. Imprezę, naturalnie, zrecenzujemy w „Kamenie".

● Na zaproszenie Polonijnego Centrum Kulturalno - Oświatowego UMCS przebywał w Lublinie dr Ludwik Heurteux z Wiednia, syn współzałożyciela Związku Polaków „Strzecha" w Austrii, wieloletni działacz, a obecnie członek honorowy tego Związku, swego czasu wicedyrektor departamentu eksploatacji w ministerstwie kolei austriackich, dzięki któremu kilkaset wagonów polskich, wywiezionych przez hitlerowców na zachód, powróciło do kraju. Mówiący świetnie po polsku, choć urodzony w Wiedniu w 1907 r., dr L. Heurteux konkretnie dokumentuje swoje związki z ojczyzną: w minionym roku podarował Uniwersytetowi Jagiellońskiemu obraz pędzla ucznia Matejki. Dzieło Ludwika Stasiaka można oglądać w Collegium Maius.

● W pierwszej połowie października odbyły się w Lublinie spotkania autorskie: znanej pisarki (rodem z Krasnegostawu) Anny Kamieńskiej i krytyka literackiego Artura Sandauera, który — przypomnijmy — podczas pobytu w Lublinie w 1944 roku dał się też poznać jako fraszkopis pokpiwający z awangardy.

● W obrębie zamojskiego Starego Miasta otwarto „Dom Prasy", w którym znalazły pomieszczenia: oddział „Sztandaru Ludu", PAP oraz redakcja powołanego właśnie czasopisma, mającego rozpocząć swoją publiczną egzystencję w listopadzie.

● W Białej Podlaskiej i Chełmie zainaugurowano rok kulturalno - wychowawczy 1979/80. Podczas uroczystości chełmskiej ogłoszono wyniki wojewódzkiego przeglądu dorobku kulturalnego gmin za rok miniony. I miejsce i 150 tys. zł otrzymała gmina Sawin, II i 100 tys. zł — Krasnystaw, III i 75 tys. zł — Siennica Różana, IV i 50 tys. zł — Dubienka.

● Zespół „Silesia" kręcił w Lublinie fragmenty filmu „Wyrok śmierci", według scenariusza i w reżyserii Witolda Orzechowskiego. Akcja filmu rozgrywa się na Lubelszczyźnie podczas okupacji, w ekipie znajdują się m. in. aktorzy z NRD i RFN.

● Od 5 do 14 października trwały „Dni Świdnika", które w tym roku zbiegły się z 25-leciem miasta. Imprezy były ciekawe, mieszkańcy bawili się dobrze, tym bardziej, że pogoda dopisała.

● Popieramy apel Ryszarda Plechy („Kurier Lubelski" z 8 października) o szybkie zatwierdzenie projektu Zachodnio-Poleskiego Parku Narodowego w woj. chełmskim!

● Biuro Wystaw Artystycznych w Zamościu urządziło wystawę grafiki i malarstwa wybitnego artysty, Lucjana Mianowskiego, wydając z tej okazji, wspólnie z BWA w Łodzi, wręcz imponujący katalog: nie tylko pod względem typograficznym (świetny papier, kolorowe reprodukcje), ale i merytoryczno - metodycznym, na co zwracamy uwagę lubelskiej placówki wystawienniczej przy ul. Narutowicza 4.

● Jeden z najstarszych członków ZPAP w Lublinie, Karol Skaruch, pokazał swoje malarstwo w Klubie Nauczyciela w Lublinie.

● Z pewnym opóźnieniem, ale i z przyjemnością podajemy do wiadomości, że na XI Ogólnowojskowym Festiwalu Orkiestr Wojskowych w Radomiu orkiestra z garnizonu lubelskiego otrzymała jedną z nagród głównych oraz II nagrodę, ufundowaną przez zastępcę szefa Głównego Zarządu Politycznego WP, za musztrę paradną. Serdecznie gratulujemy.

● We własnym domu w Nałęczowie Ewelina Bartosiewicz, znana kolekcjonerka, urządziła galerię wystawienniczo - handlową, co odnotowujemy z dużym zainteresowaniem dla całej sprawy, która, mamy nadzieję, będzie się rozwijać bardziej uporządkowanym torem, niż nieco podobne przedsięwzięcie w centrum województwa.

● Wystawę prac Nikifora można oglądać w lubelskim Muzeum Okręgowym. Po tłumach zwiedzających sądząc, „Matejko" z Krynicy nadal intryguje ludzi. Zresztą i sąsiednia ekspozycja haftu i ceramiki ludowej z Kaszub wzbudza znaczne zainteresowanie; panie to nawet odrysowują niektóre wzory.

Zespolenie

Dokończenie ze str. 11

szczupaka i zaprosi mnie na kolację? Raz — dwa, raz — dwa. Gdzie ja ostatnio jadłem dobrą rybę? W Kadaniu w hotelu „Zielone drzewo". To był zdaje się pstrąg na maśle. A potem pamiętny odłów koło Trzebonia. Tylko że wszystkie sandacze sprzedano przed moim przybyciem, a rybacy byli już mocno pod gazem. Poszedłem do hotelu i zamówiłem szczupaka. Niestety, musiałem przystać na karpia a la Petr Vok i w końcu nie żałowałem. Mięśnie zaczynają się kurczyć, moje szanse maleją. I to teraz, kiedy wyspa wydaje się być na dosięg ręki. Przechodzę na styl grzbietowy. Praca rąk przypomina ruchy wioseł i po kilku sekundach dotykam palcami piasku. Wstaję, czuję się jak rozbitek na bezludnej wyspie. Jak ten z filmu „Czterdziesty pierwszy". Patrzę triumfalnie w kierunku plaży, na której ludzie przypominają ziarenka maku. Zmęczenie ustępuje. Wiem, że mógłbym płynąć od razu z powrotem.

Stoję na brzegu patrząc w czystą toń jeziora. Taka woda jest tylko na Orawie. I taki sam szaro-żółty drobny piasek. Zanurzam się jeszcze raz cały w jeziorze, by zrzucić z siebie ciężar znoju. Kładę się na rozżarzonym piasku, nic a nic nie obchodzi mnie ta wyspa. Patrzę w bezkres błękitnego nieba i czuję, że serce wali jak młot. Każdy jest kowalem swego losu, już to gdzieś słyszałem...

• • •

W moim pokoju nad plażą wita mnie gospodarz z dużą rybą, serdecznie zaprasza na kolację, od początku bardzo mu przypadłem do gusta, więc dlaczego nie miałby ze mną zjeść szczupaka. Potem wręcza mi depeszę od żony. „Wracaj natychmiast, Jola złamała w Tatrach nogę". Wysyłam w odpowiedzi telegram: „Przyjadę, tylko zjem z gospodarzem szczupaka. To bardzo równy chłop. Bolek". Lecę samolotem do Ostrawy i taksówką do Trzyńca. Przed bramą kłania się uniżenie stary Sedlák. Niech mi pan wybaczy, panie Szaruga, to ja zrywałem te polskie afisze i wizytówki na skrytkach pocztowych. Ale od dzisiaj z wszystkimi chcę żyć w zgodzie. Ściska mnie i całuje, odwzajemniam się. Żona patrzy przez okno i nie może się nadziwić, córka w szpitalu a Bolek zadaje się z takim typem. Pędzę co tchu do Joli, wokół jej łóżka stoi grupa kolegów z baterii, wręcza jej smakołyki i owoce. Możesz spokojnie wracać nad jezioro, my się o nią zatroszczymy, mamy na to środki — wygraliśmy we współzawodnictwie BPS-ów, żebyś tylko zdążył na popijawę, bo musimy wszystko przehulać. Jola chwyta mnie za rękę. Musisz tato tam wracać i przywieźć mi wielkiego arbuza, by wystarczyło dla mnie i całej baterii. Karol sadowi mnie do fiata i za trzy godziny jestem w swoim kempingu. Zapalam papierosa, kładę się na łóżko i czytam Osmańczyka: Socjalizm to pokój, chleb i wolność. Powszechny chleb. Powszechna wolność. Powszechny pokój. Stąd to w krajach budujących socjalizm ta dramatyczna walka o trwały i powszechny pokój, o powszechne rozbrojenie. Stąd też ten ogromny, ciągle wzrastający wysiłek produkcyjny, aby zagwarantowany był powszechny dostatek. To jest to, krzyczę, trzeba działać, aby był dostatek. I w tej chwili wchodzi ta Węgierka. Więc działam, kochamy się w strugach potu. W momencie największej rozkoszy odtrącam ją, lecz wraca, naciska mnie dużą piersią...

• • •

Otwieram oczy, przecieram spocone czoło, głowa jest ciężka jak ołów i z trudem ją podnoszę. Rozglądam się dokoła. Nie ma Węgierki, nie ma łóżka, nie ma Osmańczyka. Jest tylko wyspa, woda, słońce i ja. Popłynę teraz z falą, spokojnie. Nie mam ani chwili do stracenia. Do mojej plaży jeszcze bardzo daleko. Nie jestem jednak całkiem pewien czy to jest plaża zapomnienia i samotności, czy szczęśliwe są nasze oddzielne urlopy.

Raz — dwa, raz — dwa. Przyśpieszam tempa i w miarę jak zbliżam się do brzegu, do ludzi, czuję się jakoś pewniej i bezpieczniej. Ta wielka gromada zaczyna mnie wchłaniać, przestaje być obca, samolubna. Strzeże w tej chwili moich brzoskwiń i soku pomarańczowego. To jest małe zespolenie z ludzkością, pierwszy zadatek aktywnego działania.

Czy jestem więcej wart, że pokonałem ten dystans na wyspę?

Bronisław Bielan

ekran i widz

Cierpienia młodego boksera czyli - cnota nagrodzona

NALEŻĘ do tego jeszcze pokolenia, które w wieku chłopięcym rozczytywało się w „Mocarzach ringu" Aleksandra Rekszy albo w „Wielkiej grze" tegoż autora, kiedy śniło się o posiadaniu prawdziwych rękawic bokserskich lub piłki do kopania szytej „w trzy skórki" i gdy wśród młodzieży panowało niezachwiane przekonanie, że amatorski sport wyczynowy polega na szlachetnej, bezinteresownej rywalizacji. Były to owe zamierzchłe, powojenne czasy, kiedy w samym centrum Lublina, przy ulicy Okopowej, zielenił się rozległy stadion Wojskowego Klubu Sportowego „Lublinianka", na którym nasza reprezentacyjna wojskowa drużyna z Cieślińskim i Różyłą na czele rozgrywała co tydzień futbolowe pojedynki z miejscową „Garbarnią" lub „Sygnałem", nie mówiąc już o takich stawiających całe miasto na nogi ewenementach jak na przykład pamiętny, zwycięski mecz ze sławną „Cracovią". Było wówczas rzeczą oczywistą, że sportowiec walczy na boisku lub na ringu z czystej miłości do sportu nie oczekując w zamian niczego poza szacunkiem publiczności. Jawił się też kibicom jako rodzaj romantycznego bohatera... z pustymi kieszeniami: bohater rano przykładnie pracował — często na lichej posadce — a po południu kopał piłkę lub „szparował" między linami.

Tam, gdzie dzisiaj przy Okopowej znajduje się wejście do gmachu DOKP, wznosiła się przed trzydziestu laty wysoka drewniana trybuna dla publiczności. W czasie meczów bokserskich, ustawiano przed trybuną podium, na którym mieścił się ring, osłonięty z góry brezentową płachtą na wypadek deszczu. Na tym właśnie ringu miałem chłopięce szczęście obejrzenia w walce przedwojennego mistrza Europy, legendarnego „Kolki" — Kolczyńskiego. Po walce przecisnąłem się wśród wiwatującego tłumu i udało mi się osobiście d o t k n ą ć sławnego sportowca. Cieszyłem się później przez pewien czas wśród szkolnych kolegów mirem człowieka, który dotknął mistrza Europy Chociaż Kolczyński był już wówczas tylko cieniem dawnego „Kolki", jego legenda żyła i promieniowała na młodzież. Nie wydaje mi się, żeby dzisiejsi najwięksi nawet idole sportu mimo jego masowości i szalonej reklamy, jaką stwarzają środki masowego przekazu, cieszyli się tak wielkim szacunkiem i takim bezgranicznym uwielbieniem jak jeszcze ćwierć wieku temu.

Z tęsknoty za tamtymi czasami, za ową czystą, szlachetną, platoniczną miłością do sportu, wynika chyba przede wszystkim filmowy fabularny debiut pełnometrażowy Piotra Andrejewa zatytułowany „Klincz". Termin ten oznacza w boksie sytuację, „kiedy obaj zawodnicy przytrzymują się w zwarciu, uniemożliwiając sobie wzajemne zadawanie ciosów." W takiej właśnie jakby sytuacji znalazł się w pewnym momencie bohater filmu, młody bokser Jerzy Olej, który dąży ambitnie do osiągnięcia mistrzowskiego tytułu. Uwikłał się w zależności dość charakterystyczne dla dzisiejszego „rynku" sportowego, z których nawet przy najlepszych chęciach trudno się wymotać. W jego karierze nastąpiło takie „zwarcie" konfliktowe z menadżerami boksu, w którym obydwie strony stały się niezdolne do „wymiany ciosów": bokser Olej został zdyskwalifikowany za swoją niesubordynację, ale zarazem kierownictwo klubu, w którego barwach walczy, zdaje sobie doskonale sprawę, że tylko on potrafi wywalczyć dla nas mistrzowskie miejsce za oceanem, w meczu z drużyną Stanów Zjednoczonych.

Można oczywiście opowieść o bokserze Jerzym Oleju traktować szerzej, rozumieć ją w sensie problemu uwikłania człowieka w niełatwe sytuacje życiowe, z których musi on jednak znaleźć właściwe, godne wyjście. W jednym i drugim przypadku chodziłoby więc w konsekwencji przede wszystkim o sprawę postaw moralnych człowieka, o problem wierności samemu sobie oraz ideałom, pod których sztandarem się występuje. Tę postawę reprezentuje w filmie Andrejewa dawny bokser Pałka, były mistrz świata, człowiek, który na skutek nieszczęśliwego wypadku na ringu (od jego ciosu zginął w czasie walki przeciwnik) wycofał się ze sportu a w wyniku dramatu rozpił się, ale jednak udało mu się zachować kręgosłup moralny. W Palce pozostała wiara, że u podstaw sportu leży szlachetna rywalizacji i zawodnicza czystość. I że sportowiec to człowiek, który walczy nie dla pieniędzy, nie w ramach „układów", ale dla zwycięstwa. Będzie też stary bokser mimo swej życiowej i zawodowej degrengolady usiłował wpajać wyniesione niegdyś ze sportu jego młodości zasady swym dzisiejszym wychowankom w szkółce bokserskiej. A najpierw — Jerzemu Olejowi, którego odkrył i w którego talent głęboko wierzy.

Z tym wszystkim (przy bardzo umiejętnym operowaniu kamerą, przy doskonałym opanowaniu metody paradokumentalnej, tak charakterystycznej dla większości jego rówieśników), mieści się Piotr Andrejew we wspomnianym przeze mnie w poprzednim felietonie, „publicystycznym" nurcie młodego „kina moralnego niepokoju". Tego kina, które z gorącym zaangażowaniem i polemiczną pasją podejmuje problemy naszego dnia dzisiejszego. Trzeba jednak zarazem stwierdzić, że w zestawieniu z innymi dziełami młodych polskich reżyserów i innych debiutantów, których filmy oglądałem w czasie ostatniego festiwalu filmowego w Gdańsku, „Klincz" jawi mi się w sposób dość blady, irytujący częstokroć swoimi mieliznami dramaturgicznymi i trącący tu i ówdzie — mimo szlachetnego przesłania — trochę naiwną dydaktyką. Filmowe cierpienia młodego boksera zostają uwieńczone pełnym sukcesem, a więc jego cnota — nieco niepewna na początku kariery — nagrodzona, ale blask złota bijący od medalu wywalczonego za oceanem jakoś zbyt natrętnie rzuca się w oczy widza, zbyt łatwo reżyser wyprowadza swoich przeciwników ze zwarcia. Przyznam, że po Andrejewie, twórcy m. in. „Za ciosem" czy „Nawet w niedzielę" spodziewałem się czegoś więcej.

M.D.

E. K. Słupsk. W Pani wierszach jest tyle skalnych otchłani, upiorów, ludzkiej padliny, piorunów nieczystych i zranionych serc, że przypomniała mi się od razu cała przeczytana przeze mnie literatura demoniczna. Drugi powód do zdziwienia to ten, że wyszło to spod pióra kobiecego, które preferuje obrazy i stany psychodeliczne. Dlaczego Pani wpatruje się w tę otchłań? Dlaczego, skoro wiersz nie zyskuje na tym jakiegoś filoficznego spostrzeżenia, żadnej psychologicznej refleksji? Te okropności zgromadziła Pani tylko dla „dekoracji", tylko dla „ekspresji". Nie spełniają one dla czytelnika żadnej funkcjonalnej roli. A zwrot „tryumf zwycięstwa" to ni mniej ni więcej tylko masło maślane. Uważam, że za mało kontroluje Pani samą siebie i stąd te zapędy w kuszące metafizyka dziedziny wyobraźni.

B.B. Gdańsk. Przede wszystkim rezerwę powoduje nadmiar metafor dopełniaczowych. W dziewięciu wypadkach na dziesięć możemy na tej podstawie wydać opinię, że mamy do czynienia z niedoświadczonym debiutantem. W jednym wierszu: „kawiarenka miasta", „szklanka życia", „nektar kwadransów", „talerz snów", „bibuła ziemi", „kańczug rodzin". Sześć. Niezależnie od tego ma Pani skłonność do wyrażeń nie tłumaczących się, do obrazów niezakomponowanych, do sformułowań nieczytelnych. Owszem, gdzieś tam „pod skórą" można się domyślić intencji, ale musi to być czynność podjęta na ryzyko czytelnika. Sama autorka wymaga dużo dobrej woli. Obraz Pani pokolenia z pewnością jest trafny, ale rzecz jest w tym, by na miejsce postaw nietwórczych bezwładnych zaproponować wartości od siebie. Sam obraz nie wystarcza.

R. K. Z. „Przebicia" nie możemy skorzystać. Traktuje o wielu sprawach na półtora strony maszynopisu, z konieczności więc musi być skrótowe, a nawet zdawkowe. Poza tym teza, że niedostatki kwalifikacji ludzkich u dzisiejszej młodzieży usunie wprowadzenie do programu szkolnego logiki i etyki jest bardzo wątpliwa. Problem nie leży na płaszczyźnie intelektualnej. Ale proponujemy zeń nie rezygnować. Z pewnością na właściwej sobie niwie satyrycznej potrafi go Pan podjąć celnie i skutecznie.

W. K. Olecko. Jesteśmy pełni uznania dla pańskich fortunnych kroków na drodze satyry, niemniej jednak z nadesłanych fraszek nie możemy skorzystać. Cóż i w tym przedmiocie zdarzają się różnice zdań. Oczywiście nie wyrokujemy w ten sposób o naszej ewentualnej wymianie korespondencji w przyszłości, ale na razie nadesłaną próbką nie jesteśmy przekonani.

G. H. Ostrów Wielkopolski. Ma Pan rację. Zwrot ku determinantom ostatecznym w dzisiejszej poezji ma dużo z napuszenia, z podejmowania problemów powyżej możliwości, a nawet powyżej zainteresowania. Pod tym względem przypomina ubiegłowieczna poezję tzw. bogoojczyźniana. Pojęciami takimi jak upływ czasu, brak spełnienia osobowości, wreszcie śmierć współczesny poeta chce zarobić na przyznanie mu filozoficznej głębi. Jest to na dobrą sprawę pójście na łatwizne. Że wszystkich nas czeka śmierć, jest to prawda nie tylko przykra, ale i arcyważna. Tylko jedno: nie łączy się z żadnym intelektualnym odkryciem. Nawet z twórczym wysiłkiem. Nie jestem w tym względzie odosobniony. Proszę przypomnieć sobie, co o takiej poezji pisał Przyboś, którego przecież o naiwny optymizm posądzić nie można. Dlaczego naraz tylu poetów rozpacza? Dlaczego dziś nie uświadczysz wiersza pogodnego? Bo wiersz pochmurny jest łatwiejszy. Poza tym przy całej deklaracji o szukaniu własnego wyrazu panuje jakaś psychoza formalnego strychulca. Autor wiersza o pięknym wschodzie słońca znalazłby się poza dobrym towarzystwem. Ten właśnie stałby się dziś „poeta przeklętym"

L. B. Starachowice. Nie chce powiedzieć, że kiedy ma się siedemnaście lat, nie można pisać wierszy. Istnieją przykłady, które temu skutecznie przeczą. Tu nie jest potrzebny duży zasób doświadczeń życiowych, ale zdolność do intensywnego przeżycia (aczkolwiek między jednym a drugim nie ma wyraźnego przedziału). Tym nie mniej start który Pan podjął wydaje mi się przedwczesny. Potrzebny jest na tyle zaawansowany pogląd na świat, na istotę sztuki pisarskiej, by zorientować się z jakich postaw i przekonań trzeba zrezygnować jako przyniesionych przez jeszcze niedojrzałą młodość. W dodatku podstawę do przeprowadzenia rzeczonej selekcji trzeba znaleźć samemu jako że vademecum poezji nie istnieje. Czyli — wszystko w porządku: powodu do paniki nie ma. Do obaw, że coś gwałtownie przepada, coś się spóźnia, na gwałt trzeba podjąć kroki w kierunku jakichś rozpaczliwych przyśpieszeń. Sam fakt, że jest Pan z siebie niezadowolony już może być potraktowany jako korzystna zapowiedź. A i list dołączony do tekstów wskazuje na możliwość owocnej w przyszłości praktyki pisarskiej.

T. J. Lubartów, K. J. Zawieprzyce, D. S. Końskowola, R. Z. Ciechocinek, A. J. Lublin — nie skorzystamy.

KRZYŻÓWKA (nr 22)

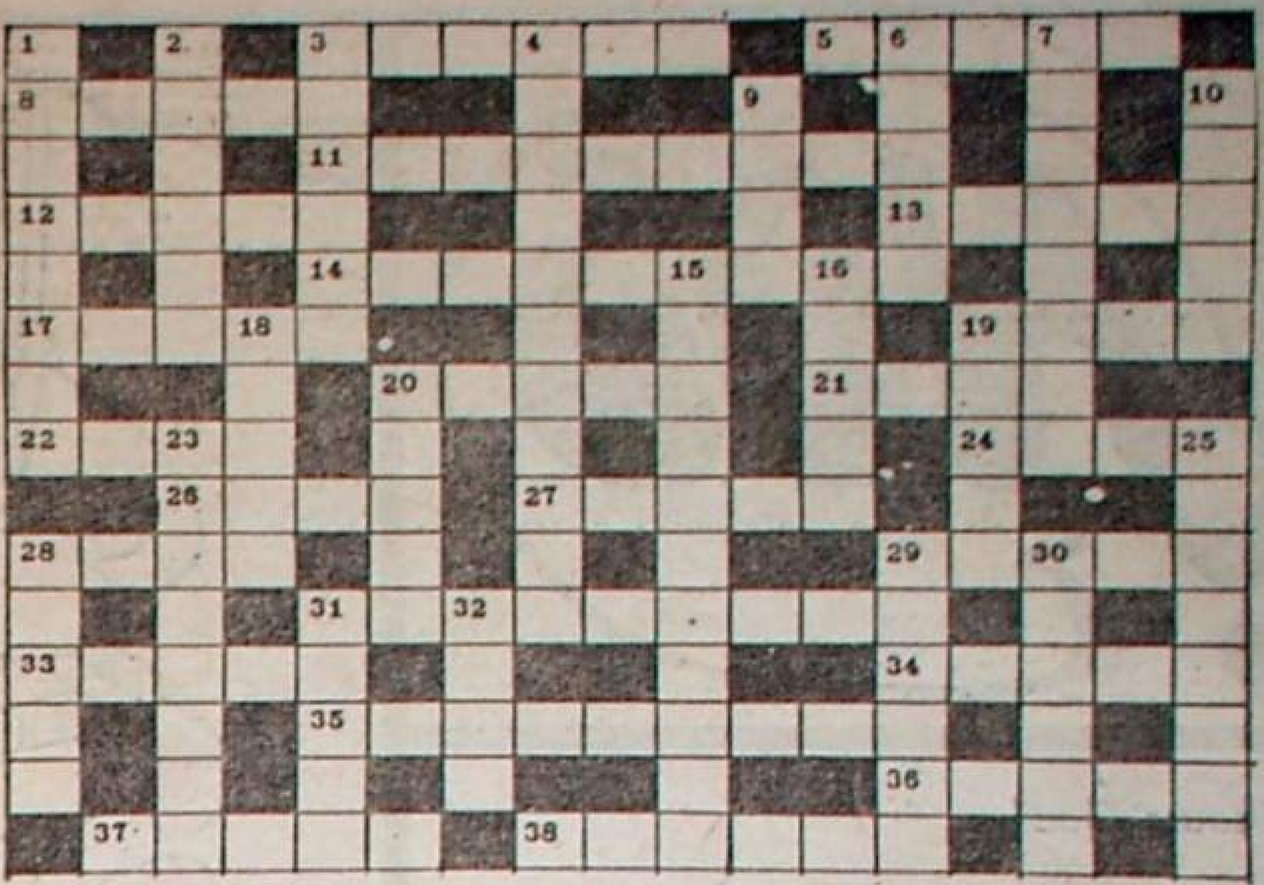

Poziomo: 3. komedia Fredry, 5. pomieszczenie dla bydła, 8. grecki rynek, 11. ulica spacerowa, 12. ptak drapieżny, 13. cichy odgłos, szum, 14. człowiek o żywym i zmiennym usposobieniu, 17. góry w Europie, 19. bawełniany materiał na ubrania robocze, 20. stare narzędzie żniwiarza, 21. mierzy się go w omach, 22. imię wieszcza, 24. zdrowy grzyb, 26. dzielnica Warszawy, 27. bojowa trąba, 28. uszlachetnione żelazo, 29. stolica azjatycka lub ostry sos, 31. kurtka lub odmiana kajaka, 33. pokrywa, 34. larwa pszczoły, 35. nazwisko słynnego rodu włoskiego którego kaplicę tworzył Michał Anioł, 36. naddnieprzańska twierdza, do której wędrował pan Skrzetuski, 37. oczekuje na Filona, 38. sposób.

Pionowo: 1. talizman, 2. trąbka orkiestry dętej, 3. dyscyplina sportowa Lipienia, 4. pisarka polska, autorka „Dymów nad Birkenau", 6. odbite światło, 7. wielkości odzieży, 9. biblijny bratobójca, 10. pisarz polski, autor „Żółtego krzyża", 15. człowiek niegrzeczny, zachowujący się obraźliwie, 16. cerkiewny obraz, 18. stary piernik, 19. siostra syna, 20. dawna miara długości, 23. wyższa uczelnia, 25. współczesny pisarz polski, autor opowiadań „Śmiertelni bohaterowie", 28. sąsiad zza Bałtyku, 29. lata nad stawem, 30. przysłona, 31. kąśliwy owad, 32. rzeka Kieleczczyzny.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 20

Poziomo: Stuligrosz, zarząd, Szymanowski, kompas, oliwka, orzeł, sztuka, sok, Mielec, atak, Rżew, Temida, Ina, Tarski, fafsa, zatoka, żagiel, dodekafonia, kurier, Penderecki.

Pionowo: szyk, Krym, mąka, Trzciński, Ibadan, otwór, Wisłocki, Peru, sonata, oliwa, zulus, szufada, Timor, kadra, krakowiak, metraż, ring, Kobe, szofer, Stern, Amur, ibis, lira.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 20 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Anna Kowalczyk 20—416 Lublin, Łazienkowska 14/4, Teresa Bielecka 31—511 Kraków, Rakowicka 2/4, Tadeusz Jarząbski 15—395 Białystok, Czarna 8, Maciej Kozak 21—040 Świdnik, Sławińskiego 34/3

Listy do kameny

„SKĄD BRAĆ KSIĄŻKI"

W odpowiedzi na list do redakcji zamieszczony na łamach „Kameny" nr 17 z 19 sierpnia br. Oddział Udostępniania Biblioteki Głównej UMCS wyjaśnia, że otwarcie czytelni w okresie wakacyjnym regulowane jest ruchem i potrzebami czytelników.

Z uwagi na znacznie zmniejszony w okresie wakacyjnym ruch czytelniczy, tradycyjnie już zamykamy jedną z czytelń, skupiając udostępnianie wszelkich druków zwartych w czytelni matematyczno-przyrodniczej, a wydawnictw ciągłych w czytelni czasopism. Obie te czytelnie czynne były w lipcu w dni powszednie w godz. od 8 do 20, zaś bibliotekarze pełniący dyżury w czytelni matematyczno-przyrodniczej zostali zobowiązani do udostępniania czytelnikowi każdej książki, także z księgozbioru podręcznego czytelni humanistycznej, o ile wpłynie takie zamówienie.

Chcielibyśmy, aby każdy nasz czytelnik został dobrze obsłużony, aby nie odszedł nie uzyskawszy dostępu do potrzebnych mu materiałów. Dołożymy zatem jeszcze większych starań, aby usługowa i społeczna funkcja Biblioteki była właściwie wypełniana.

Kustosz Izolda Kęsik
Kierownik Oddziału Udostępniania

Od redakcji: Dziękując za wyjaśnienie przypominamy, że autorka korespondencji do „Kameny" miała wątpliwości nie do samej zasady wypożyczania książek w wiadomych warunkach, bezsprzecznie racjonalnej, lecz do indywidualnego sposobu jej realizacji przez osoby do tego powołane.

„DWA DNI W ŻYCIU"

Chyba nie za dobrze trafił Bronisław Kowalski szukając materiału do artykułu „Dwa dni w życiu", zamieszczonego w „Kamenie" z 16 września br. (...) Czytamy tam: „...15 września p. Błoński wyruszył na zwiad w kierunku Jastkowa. Niedaleko od miasta ujrzano tyralierę niemieckich wojsk..." Skąd tego dnia Niemcy podeszli pod Lublin? Na odcinku Puław i Dęblina Wisły nie forsowali, uczyniła to 14 dywizja piechoty na zachód od Opola, która tego dnia jeszcze się przeprawiała przez rzekę pod Kamieniem. Natomiast szosa warszawska w tym dniu była jeszcze dozorowana przez polską 39 dywizję rezerwową, której oddziały ściągały do rejonu Abramowa. Nie chcę już dochodzić, w jakim celu Niemcy rozwinęli się w szyk szturmowy, jeśli na ich drodze znajdował się tylko patrol p. Błońskiego, prawdopodobnie dla nich niewidoczny. A jeżeli „dzięki temu wypadowi sztab obrony otrzymał pewne wiadomości, że wróg już blisko", to został przez p. Błońskiego wprowadzony w błąd. Dowodem tego jest prawdziwy fakt, że „następnego dnia oddział konny majora Dudzińskiego stoczył (aż) pod Konopnicą bój z niemieckimi kolarzami". Był to zresztą oddział nie konny, ale zmotoryzowany, a jego pozycja przebiegała południowym krańcem lasu tereszyńskiego. Por. Dobraczyński „z niewielkim oddziałkiem" nie musiał się w tę walkę włączać — jak czytamy w artykule — gdyż sam był oficerem w oddziale mjr. Dudzińskiego, co swego czasu dokładnie opisał.

Nieporozumieniem jest stwierdzenie że „w atakach zginęli wówczas por. Iglatowski, mjr. Horwatt (wg innych — Chorwatt), 17-letni harcerz Janek Kędzierski", gdyż sam tylko, baon por. Iglatowskiego stracił kilkudziesięciu zabitych i rannych. Poza tym mjr. Chorwatt podobno nie zginął, ale odniósł ciężką ranę, wyleczył się i do dziś mieszka w Białymstoku.

„...płk. Bartak zginął pod Rejowcem, ranny tam został kpt. Lis-Błoński, zmarł w październiku" — czytamy też w artykule opartym o informacje p. Błońskiego. Otóż płk. Bartak poległ 18 września koło Siedliszcza, od pocisku artyleryjskiego, który trafił w jego samochód. (...) Natomiast kpt. Lis-Błoński został ciężko ranny 29 września podczas natarcia grupy płk. Plonki na Dzwolę, koło Janowa Lubelskiego. 1 października przywieziono go do szpitala w Szczebrzeszynie, gdzie zmarł 31 t.m. (...)

Przy okazji chcę też sprostować dwie nieścisłości zawarte w sąsiednim artykule Stanisława Jadczaka „Cywile w walce z Wehrmachtem". Otóż Armia „Lublin" opuściła linię Wisły wieczorem 14 września, a więc o dzień później, niż podano w artykule. Druga uwaga dotyczy „14-letniego Stefana Sagana, który zginął wskutek wpędzenia go przez Niemców na miny". Na cmentarzu w Olbięcinie znalazłem jego nagrobek, na którym wiek Sagana określono na 18 lat. Dane te potwierdzili mieszkańcy.

Leszek Siemion
Lublin

MASZYNOPISANIE

Jeśli handlarze choinkami śrubują ceny przed świętem Bożego Narodzenia, ludzie podnoszą — słusznie — krzyk i szukają sprawiedliwości. Natomiast kiedy panie maszynistki za przepisanie jednej strony zaczynają żądać od klienta po 15—17—20 złotych, nikt jakoś publicznie nie protestuje, choć to doprawdy, mówiąc „wiechem", draka. Jedną stronę przeciętna maszynistka przepisuje w 12 minut — w jakiej branży za taki okres m e c h a n i c z n e j pracy otrzymuje się 15 czy więcej złotych?!

Edward Kotarski
Lublin

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) Bronisław Kowalski, Maciej Podgórski, Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach
— do 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do 10 marca na II kwartał roku bieżącego,
— do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze,
— do 10 września na IV kwartał.

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych oddziałach RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH" w miejscowościach zaś w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych.

Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH", Centrala Kolportażu Prasy Wydawnictw ul. Towarowa nr 28 00-958 Warszawa konto PKO nr 1531-71.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Numer łamał Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurędy

Nr indeksu 36251

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93 dział publicystyki i literacki 275-35
Korespondencję zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

czas. 2552/1979/22

NOS

Janusz Gaudyn

AFORYZMY

Nie osądzajmy ludzi niedyskretnych. Wzbogacają naszą wiedzę o życiu.

◆

Tragedią satyry jest to, że nikt nie traktuje jej poważnie.

◆

Niejedna maska tak się zużyła, że widać przez nią twarz.

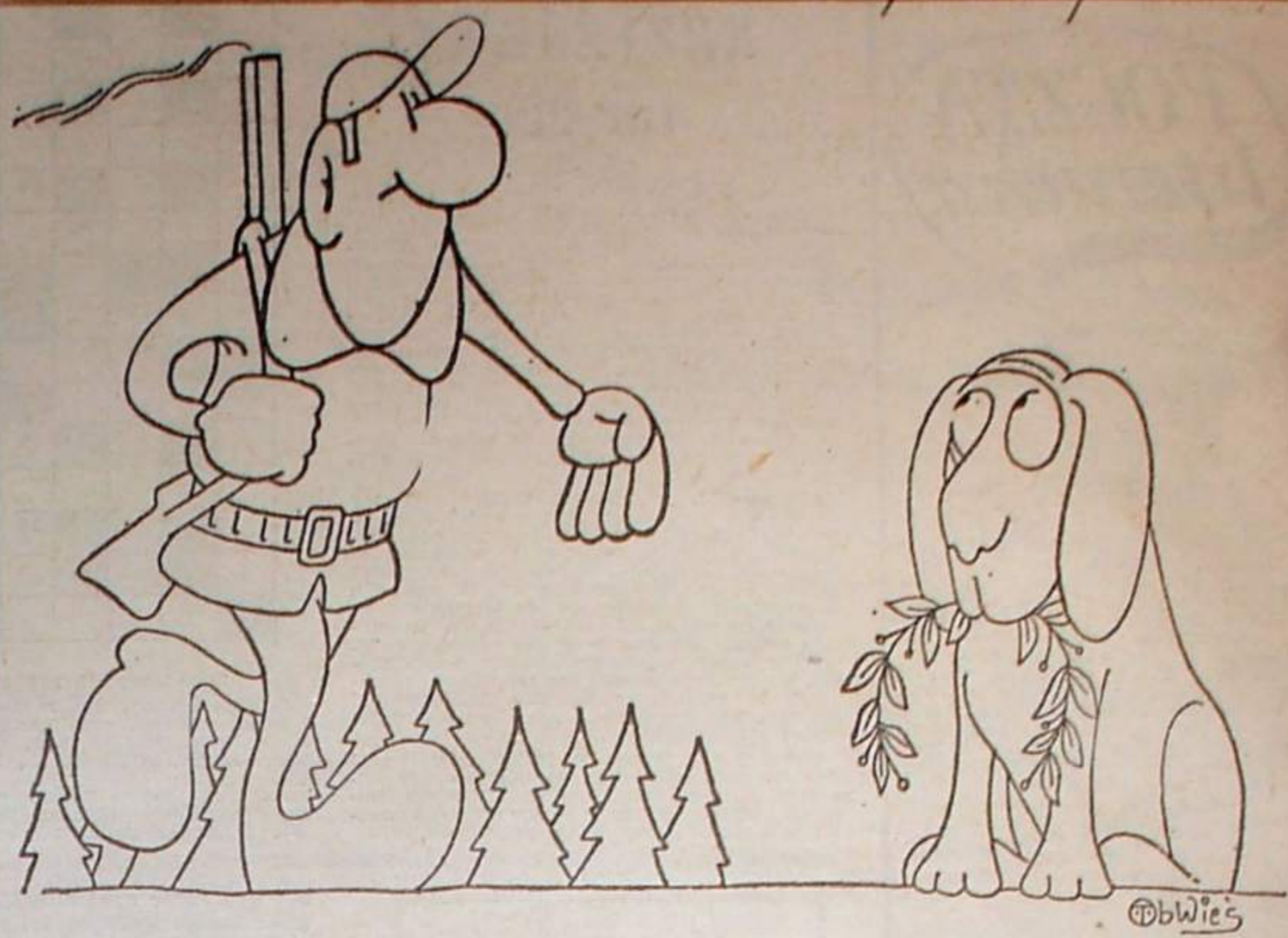

Rys. Wiesław Fuglewicz

Rys. Andrzej Stok

Zbigniew Uchnast

NIEZASTĄPIENI

Pisano skargi na kierowcę,
że cham, nie gardzi w pracy wódką.
Zwolnili? Skądże. A kadrowcy:
— Brak nam kierowców — mówią krótko.

Listonosz pijał w czasie pracy
(nieraz pogubił listy w błocie).
Zwolnić nie można, choć jest za co,
bo o następcę trudno potem.

Kiosk na przedmieściu z ruchem małym.
Kiedy chce facet — kiosk otwiera.
Skarg się nie boi, mawia stale:
— Znajdźcie na miejsce me frajera.

Ciągle po nocach spać nie daje
życzenie ciche w takim względzie:
Czy ja doczekam, że w mym kraju
niezastąpionych już nie będzie?

Bogusław Wieczorek

FRASZKI

CHLEB

Niesmaczny i niezdrowy
chleb na kwasach domowych.

W TEATRZE

Zmiana dekoracji —
przy większej dotacji.

METAMORFOZA

Głos sumienia
też się zmienia.

Z KONTRASTÓW

Tępa głowa —
ostre słowa.

POTĘGA PLECÓW

Niech się przy nich schowa
tęga nawet głowa.

OCENA

Pod adresem spektaklu to złośliwy przytyk:
na oklaski zasłużył — zgodnie z prawdą —
krytyk.

Zasada sprzężenia zwrotnego w jedną stronę

Andrzej Lipiński

PAN Tosiek jest moim sąsiadem i równocześnie mechanikiem samochodowym o słabowitym zdrowiu. Ja mam samochód i pracuję w Przychodni. Z panem Tośkiem łączy mnie klasyczny stosunek sprzężenia zwrotnego. On reperuje mój samochód, ja podreperowuję stan jego zdrowia. Nie ma między nami żadnych rozliczeń finansowych poza wymianą usług. Jednym słowem świadczymy sobie nawzajem legalne ze wszech miar grzeczności w ramach społecznych zakładów pracy, tyle że wszystko odbywa się po znajomości.

I to byłoby wszystko co nas łączy. Dzieli nas sposób załatwiania. Pobyt pana Tośka w moim gabinecie i w ogóle w Przychodni nie trwa dłużej niż kwadrans. Pan Tosiek z reguły bardzo spieszy się do pracy. Natomiast reperacje mojego samochodu ciągną się godzinami, nawet wtedy, gdy sprawa dotyczy wymiany oleju. Pan Tosiek jest wybitnym specjalistą do stwarzania obiektywnych trudności. Ja jestem specjalistą tylko w chorobach wewnętrznych.

Samochód ma to do siebie, że żre go rdza, podobnie jak pana Tośka męczą korzonki. Poza tym i samochód i pan Tosiek są na chodzie. Ostatnio rdza mojego samochodu załatwiła jeden tłumik. Diagnozę postawiłem sam, leczeniem miał się zająć pan Tosiek. Początkowo wszystko szło nadspodziewanie szybko. Już po godzinie znalazł się wolny kanał i pan Tosiek wszedł pod samochód.

— Potrzebna będzie czternastka — powiedział i poszedł szukać odpowiedniego klucza. Gdy wrócił okazało się, że nie obejdzie się bez młotka. Potem potrzebny był jeszcze śrubokręt. Wreszcie pan Tosiek zaklął siarczyście, zaprosił mnie pod samochód i pokazując zardzewiałe śruby stwierdził:

— Weźmiemy je palnikiem. — Po upływie pół godziny wyciągnąłem go spod innego samochodu. W czasie kolejnych wypraw i powrotów po palnik, obcęgi, nakrętki, śruby i znów nakrętki pan Tosiek opowiadał o swoich dolegliwościach i zapowiedział wizytę w Przychodni na jutro, a ja z nudów raczej niż z chęci odwetu obmyśliłem „słodką" zemstę. Wreszcie tłumik był gotów.

Następnego dnia, zgodnie z planem przetrzymałem pana Tośka w poczekalni dłużej niż zwykle. Potem poszedłem szukać aparatu do mierzenia ciśnienia, później nie mogłem znaleźć słuchawek. Wreszcie zabrakło mi recept i kiedy znów chciałem wyjść z gabinetu, pan Tosiek przytrzymał mnie za rękę i patrząc prosto w oczy z nieukrywanym zdziwieniem zapytał:

— Czy pan doktor ma zamiar sprzedać samochód?

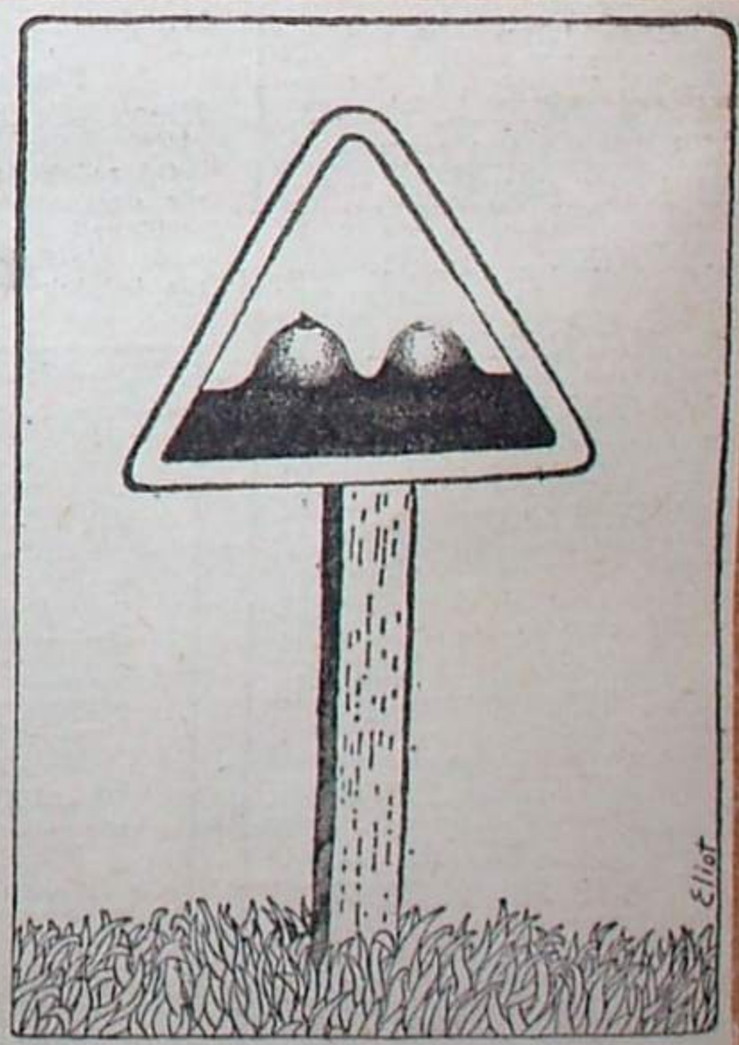

Rys. Jerzy Lipiec